



# BIULETYN

## informacyjny



### ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ OKRĘG POZNAŃ

Nr 3 (62)

POZNAŃ

WRZESIEŃ 2005

#### SPIS TREŚCI

Str.

#### I. Z ŻYCIA ZWIĄZKU

1.1. Nowy skład Zarządu Głównego ŚŻŻAK .....	2
1.2. Uzupełnienie informacji o składzie Zarządu Okręgu Poznań ŚŻŻAK .....	2
1.3. Centralne uroczystości rocznicowe poświęcone Powstaniu Warszawskiemu – <i>Czesław Cywiński</i> .....	3
1.4. Poznań w hołdzie Powstańcom Warszawskim – <i>Urszula Hoffmann</i> .....	4
1.5. Okolicznościowa wycieczka do Warszawy – <i>Tadeusz Tomkiewicz</i> .....	8
1.6. Komisja Historyczna Oddziału Konin ŚŻŻAK informuje .....	11

#### II. MATERIAŁY HISTORYCZNE (wspomnienia i relacje)

2.1. Powstańczy egzamin dojrzałości – <i>Zofia Grodecka</i> .....	12
2.2. Walki o gmach YMCA – <i>Wojciech Wiewiorowski</i> .....	14
2.3. Jerzy Eugeniusz Zborowski „Jeremi” – <i>Zofia Grodecka</i> .....	16
2.4. Poznańskie harcerki w Powstaniu Warszawskim – <i>Urszula Hoffmann</i> ..	18
2.5. Mój udział w „Operacji Burza” – <i>Janusz Hajnowski</i> .....	21
2.6. AK-owiec w Ludowym Wojsku Polskim – <i>Zbigniew Dobrowolski</i> .....	31
2.7. Organizacja oddziałów bojowych podległych Komendzie Samodzielnego Okręgu Wileńskiego AK w Operacji „Ostra Brama” .....	38
2.8. Rok 1920 – <i>Seweryn Herman</i> .....	39
2.9. Bój o Lwów, a „cud nad Wisłą” – <i>Z. Arnold</i> .....	41

#### III. INFORMACJE I KOMUNIKATY

3.1. Informacja o zasadach udzielania indywidualnej pomocy finansowej z Państwowego Funduszu Kombatantów .....	44
3.2. Pamiętajmy o nich .....	47
3.3. Kronika żałobna.....	48

## I. Z ŻYCIA ZWIĄZKU

### 1.1. Nowy skład Zarządu Głównego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej

Na Prezydium 28 lipca br. Zarząd Główny ukonstytuował się w następujący sposób:

<b>Czesław Cywiński</b>	Prezes
Stanisław Oleksiak	Wiceprezes
Tadeusz Michalski	Wiceprezes
Zbigniew S. Olesiak	Sekretarz
Edward Kwiatkowski	Skarbnik
Tadeusz Filipkowski	rzecznik medialny
Jan Gozdawa-Golebiowski	członek prezydium
Piotr Kurek	sprawy młodzieży
Janusz Okoń	sprawy odznaczeń, awansów
Janusz Orsik	sprawy socjalne
Marian Piotrowicz	konsultant Prezesa
Lucjan Sikora	Redaktor Naczelny Biuletynu Informacyjnego
Mirosław Spiechowicz	Prezes FPPP
Bolesław Hozakowski	zastępca członka
Eugeniusz Wiszowaty	„ „
Mieczysław Małek	„ „
Rajmund Aschenbrenner	„ „
Wojciech Targowski	„ „
Jerzy Rękawek	„ „

Główna Komisja Rewizyjna ukonstytuowała się następująco:

Jerzy Kasperczyk	prezes
Maciej Krokos	wiceprezes
Henryk Małkiewicz	członek GKR
Andrzej Odorkiewicz	„ „

### 1.2. Uzupełnienie informacji o składzie Zarządu Okręgu Poznań ŚZZAK

W poprzednim numerze „BI”, w informacji o wybranym 9 maja br. nowym składzie Zarządu Okręgu ŚZZAK znalazły się niestety dwa błędy:

- zabrakło nazwiska mgra **Mieczysława Pieńkowskiego**, pełniącego funkcję skarbnika,
- wymieniony w zespole Okręgowego Sądu Koleżeńskiego kol. **Mierzwa** ma na imię **Jerzy** (a nie – jak mylnie podano Jan).

Za pomyłki przepraszamy obu zainteresowanych Kolegów, a także czytelników.

REDAKCJA

### 1.3. Centralne uroczystości rocznicowe poświęcone Powstaniu Warszawskiemu

W związku z 61 rocznicą wybuchu Powstania Warszawskiego w Warszawie miał miejsce szereg uroczystości. Uroczystość nadania honorowego członkostwa Związkowi Powstańców Warszawskich profesorowi Normanowi Daviesowi odbyła się 29 lipca w Muzeum Powstania Warszawskiego. Uczestniczyło w niej kilka osobistości, w tym Premier Marek Belka, który wygłosił krótkie przemówienie. Na tej samej uroczystości N. Davies otrzymał doroczną nagrodę Jedyńki Polskiego Radia SA i Muzeum P.W. Przemawiali Prezes Czesław Cywiński i generał Zbigniew Ścibor-Rylski. Profesor Norman Davies jest historykiem, autorem dzieł o historii dwudziestego wieku. Jego świetna monografia „Powstanie '44” napisana w języku angielskim i przetłumaczona na kilka języków spowodowała zainteresowanie historią i genezą Powstania wśród historyków na świecie. W dowód uznania Norman Davies został uhonorowany w Polsce wieloma zaszczytami i nagrodami.

W niedzielę 31 lipca na terenie Muzeum Powstania warszawskiego odbyło się wmurowanie tablicy pamiątkowej, przemówienia wygłosili: Prezes ZPW Z. Ścibor-Rylski, Prezydent L. Kaczyński, Prezes Cz. Cywiński i Prezes Okręgu Warszawa J. Wilgat. Uroczystość zakończyło pamiątkowe zdjęcie z Prezydentem Warszawy i koncert piosenek powstańczych. Z kolei o godz. 12 w Sali Balowej Zamku Królewskiego odbyła się uroczysta sesja Rady M. St. Warszawy, na której honorowe obywatelstwo Warszawy otrzymali ks. Arcybiskup Leszek Sławoj-Głódź (generał dywizji, poprzedni kapelan Wojska Polskiego) i profesor Norman Davies. Szereg osób zostało uhonorowanych nagrodą M. Warszawy, a kilkanaście osób, w tym 3 osoby z ŚZZAK, medalem „Zasłużony dla Warszawy”. Wieczorem odbyła się msza św. przy pomniku Powstania Warszawskiego na pl. Krasińskich (przy liczny udział społeczeństwa Warszawy), Apel Poległych i koncert.

Pierwszego sierpnia, rano odbywały się uroczystości w różnych dzielnicach Warszawy (np. „Baszta” na Mokotowie, „Krybar” na Uniwersytecie Warszawskim), o godz. 12 złożone zostały wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza, o godz. 13.30 pod pomni-



Obchody 1 sierpnia w Warszawie

kiem generała „Grotą” Roweckiego, o 14.00 pod pomnikiem Podziemnego Państwa Polskiego. Tam przemawiali Prezes Czesław Cywiński, Marszałek Sejmu W. Cimoszewicz i Prezydent Warszawy Lech Kaczyński. Po południu odbyły się uroczystości na cmentarzach (pod pomnikiem „Gloria Victis”), a wieczorem na kopcu Powstania Warszawskiego (dawniej Czerniakowskim) na Mokotowie. Na kopcu rozpalono ognisko, o które harcerze mają dbać przez całe 63 dni. Przemawiali Kol. Eugeniusz Ajewski (inicjator i projektant Kotwicy) i Prezydent L. Kaczyński.

Zbigniew Olesiak, Czesław Cywiński

#### 1.4. Poznań w hołdzie Powstańcom Warszawskim

Mieszkańców Poznania i Wielkopolski, wysiedlonych przez Niemców do Generalnej Guberni, nie zabrakło w konspiracji AK-owskiej i harcerskiej oraz w Powstaniu Warszawskim. Niektórzy są dzisiaj z nami, by obchodzić uroczystości 61 rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego.

Zgodnie z tradycją o godz. 15.30 w intencji poległych Powstańców Warszawskich biskup Marek Jędraszewski w kościele pod wezw. Najśw. Zbawiciela odprawił mszę św. i wygłosił okolicznościową homilię, w której przypomniał m.in., że Papież Benedykt XVI, pochodzący z niemieckiej ziemi, 31 lipca w Castel Gandolfo mówił o Powstaniu Warszawskim. Chór „Orły Białe” uświetnił nabożeństwo, a na zakończenie mszy św. wszyscy obecni odśpiewali „Boże coś Polskę ...”.

Gdy poczty sztandarowe AK-owskie, organizacje kombatanckich i harcerskie oraz uczestnicy nabożeństwa opuszczali kościół, w kruchcie pod tablicą pamiątkową poświęconą pamięci Powstańców Warszawskich złożono kwiaty i zapalono znicze.



Uroczystości pod Głazem AK 1 sierpnia 2005 r.

Pochód – niestety bez orkiestry wojskowej – przeszedł pod Głaz AK do Parku Wieniawskiego. Po drodze delegacje udały się do kościoła O.O. Dominikanów, gdzie w krużgankach, pod tablicami Armii Krajowej oraz Podziemnego Państwa Polskiego i Szarych Szeregów złożyły kwiaty i zapaliły znicze. Wśród składających kwiaty były delegacje Wojewody Wielkopolskiego, Marszałka Sejmiku i miasta Poznania. O godz. 17.00 syreny w całym mieście przypomniały Godzinę „W” w Warszawie. Obecni w postawie na baczność oddali hołd uczestnikom Powstania Warszawskiego – tym poległym i tym, którzy przeżyli i dzisiaj uczestniczą w uroczystości.



Uroczystości pod Głazem AK 1 sierpnia 2005 r.

Gdy zamilkły syreny, sygnaturka odegrała „Hasło Wojska Polskiego” a Hymn Państwowy rozpoczął uroczystość 61. Rocznicy Wybuchu Powstania Warszawskiego. Prezes Zarządu Okręgu „Poznań” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej kpt. Jan Górski serdecznie powitał zaproszonych gości, a w szczególności Wojewodę Wielkopolskiego Andrzeja Nowakowskiego, pod którego patronatem przebiega dzisiejsza uroczystość, wicemarszałka Sejmiku Wielkopolskiego Zbigniewa Winczewskiego, wiceprezenta m. Poznania Macieja Frankowskiego, wiceprzewodniczącego Rady m. Poznania Grzegorza Ganowicza, Starostę Poznańskiego Jana Grabkowskiego, z-cę Dowódcy II Brygady Lotnictwa Taktycznego płk. dypl. Arkadiusza Poluszyńskiego, Komendanta Garnizonu Poznań mjr. Tomasza Lorka, przedstawicieli organizacji kombatanckich, Tow. Gimnastycznego „Sokół” oraz Powstańców Warszawskich mieszkających w Poznaniu, a także wszystkich członków ŚZZAK.

Po słowach powitania prezes przypomniał, że przy Głazie AK w Parku Wieniawskiego zbieramy się po raz drugi, po jego przeniesieniu z Placu Wiosny Ludów i jak w ubiegłym roku zwracał się z apelem o postawienie w tym miejscu Pomnika Armii

Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego, gdyż Poznań jest obecnie jedynym miastem wojewódzkim w Polsce, w którym takiego pomnika jeszcze nie ma. Zaznaczył też, że w trakcie organizacji znajduje się skład Komitetu Roboczego.

Następnie przekazał dalsze prowadzenie uroczystości kpt. Marianowi Rogusowi z II Brygady Lotnictwa Taktycznego, który poprosił por. dr Zofię Grodecką – Powstańca Warszawskiego o wystąpienie (tekst wystąpienia pt. „Powstańczy egzamin dojrzałości” zamieszczamy w rozdz. II 2.1).

Kpt. M. Rogus zwrócił się do Wojewody Wielkopolskiego Andrzeja Nowakowskiego o zabranie głosu (interesujące wystąpienie Wojewody jest zamieszczone poniżej). Jak zwykle dominującym momentem uroczystości poświęconej pamięci Powstańców Warszawskich był Apel Poległych przeprowadzony przez kpt. M. Rogusa.

Po Apelu Poległych delegacje władz wojewódzkich, miejskich i samorządowych, przedstawiciele Zarządu Okręgu ŚZZAK, Środowiska Warszawskiego „Syrena” i pozostałych jednostek organizacyjnych ZO jak i organizacji kombatanckich oraz osoby prywatne złożyły kwiaty i zapaliły znicze.

Na zakończenie uroczystości odśpiewano Rotę „Nie rzucim ziemi ...”. Poczty sztandarowe oddały hołd przed Głazem AK. Natomiast białoczerwona flaga na maszcie będzie powiewała przez 63 dni, by przypominać obecnie żyjącym pokoleniom o walce naszych bohaterów, którzy przyczynili się, że dziś możemy żyć w wolnej Ojczyźnie.

Przy Głazie AK przez cały czas uroczystości na warcie stali żołnierze z II Brygady Lotnictwa Taktycznego. To samo czynili przy tablicach pamiątkowych w krużgankach kościoła O.O. Dominikanów harcerze i harcerki z 100 Drużyny Harcerskiej ZHP im. Stanisława Maczka.

Serdecznie im za to dziękujemy.

por. Urszula Hoffmann  
Sekretarz  
ZO „Poznań” ŚZZAK

### **Przemówienie Wojewody**

Szanowni Państwo.  
Żołnierze Polski Walczącej!  
Bohaterskie Dzieci Warszawy!  
Drodzy Weterani.

W ten dzień dla Polaków szczególnie, upamiętniający bowiem wybuch najbardziej polskiego z polskich powstań, tragicznego i jakże bohaterskiego Powstania Warszawskiego, z wielkim wzruszeniem spotykam się z Państwem, jego uczestnikami. Dzisiaj w 61. rocznicę wybuchu, w Poznaniu, gdzie przed wiekami kształtowały się zręby polskiego państwa, gdzie trwała przez cały XIX wiek najdłuższa wojna nowoczesnej Europy uwieczniona zwycięskim Powstaniem Wielkopolskim i gdzie w 1956 roku po raz pierwszy w Polsce Ludowej upomniano się o wolność i godność – wspólnie, reprezentanci różnych polskich pokoleń oddajemy hołd powstańczej Warszawie.

Czcimy pamięć tych, którzy przed 61 laty, w upalny sierpniowy dzień poszli w krwawy nierówny bój z hitlerowskim okupantem. Z honorem podjęli walkę, która – jak to wielokrotnie bywało w naszej historii – z uwagi na ówczesne uwarunkowania nie mogła się zakończyć sukcesem. Osamotnieni powstańcy, bez wsparcia aliantów za-

chodnich oraz nacierającej ze wschodu Armii Czerwonej, musieli ponieść klęskę. Ale ich walka o wolną niepodległą Polskę nie skończyła się po 63 powstańczych dniach. Kontynuowali ją na wielu frontach i przez długie powojenne lata.

W tych dziejowych zmaganiach o narodową tożsamość, o kształt naszej Ojczyzny szczególną rolę odgrywali Powstańcy Warszawscy. Pamięć o ich czynach umacniała polskie serca, była natchnieniem dla kolejnych pokoleń. Ofiarność żołnierzy i mieszkańców Warszawy, ich przelana krew i tragedia zburzonego miasta nie poszły na marne. Stanowiły zarzewie przyszłego zwycięstwa.

Panie i Panowie,

Powstańcy Warszawy, długo musieliście czekać na swój triumf. Dla wielu z Was, rozrzuconych i znękanych poniewierką po świecie, gorzki bywał jego smak. Jednak to Wy, dzieci nieujarzmionej Warszawy, zawsze wierne Ojczyźnie, jesteście dzisiaj zwycięzcami!

Rzeczpospolita, za którą przelewaliście krew, a wiele waszych koleżanek i kolegów zapłaciło cenę najwyższą, jest dzisiaj wolnym, suwerennym i demokratycznym krajem, członkiem Unii Europejskiej. To wielkie osiągnięcie naszego narodu jest w dużej mierze Państwa zasługą. Wasz bohaterski zryw i wytrwała nieugięta postawa były wzorem dla kolejnych pokoleń Polaków.

Przesłanie płynące z tamtych powstańczych barykad dodawało sił robotnikom Poznania i Wybrzeża, napędzało mocą sztandary Solidarności, pod którymi rozpoczęły się dziejowe przemiany w Europie. Powstanie Solidarności, którego 25 rocznicę będziemy niebawem obchodzić, doprowadziło do przełamania starych podziałów i zwycięstwa europejskiej integracji.

Jednak ciesząc się z osiągnięć w budowie wspólnej, bezpiecznej i dostatniej Europy, musimy nieustannie pamiętać o naukach wynikających z przeszłości. W Polsce – szczególnie doświadczonej przez wojnę – z niepokojem obserwujemy pojawiające się na Zachodzie próby fałszowania historii i rozmywania odpowiedzialności za wybuch wojny oraz jej okrutne skutki.

60 lat to długi okres czasu, ale świadectwa żyjących uczestników tamtych wydarzeń są jednoznaczne. Tragiczna prawda o wojnie, o osamotnionych żołnierzach września i powstańcach przez 63 dni zmagających się z okupantem, o milionach Polaków wyrzeczonych, rozstrzeliwanych i zagazowanych, o narodach i miastach skazanych przez Hitlera i jego niemieckich wyznawców na zagładę musi być znana światu. Musi dotrzeć do młodych pokoleń. Tylko na fundamencie prawdy zbudujemy pomyślną przyszłość zjednoczonej Europy.

Szanowni Państwo,

Pragnę Paniom i Panom Kombatantom, uczestnikom tamtych krwawych zmaganiań serdecznie podziękować za hart wykazany w boju, a także za lata ofiarnej pracy dla Ojczyzny. Zapewniam, że nigdy nie zapomnimy o warszawskich powstańcach, którzy umiłowanej Polsce oddali serca, myśli i czyny. Poprzez rocznicowe uroczystości pod pomnikami, poprzez wystawy i publikacje będziemy pielęgnować powstańcze ideały oraz przekazywać je młodym Polakom. Niech oni wzorem pokolenia Kolumbów z odwagą wybiegają w przyszłość, sięgają po laury i niech zawsze wiernie i z honorem, tak jak powstańcy, służą Ojczyźnie.

Dziękuję Państwu za uwagę.

Andrzej Nowakowski  
Wojewoda Wielkopolski

## 1.5. Okolicznościowa wycieczka do Warszawy

W naszym gronie ŚZZAK – Okręg Poznań, zwłaszcza w środowisku „Syrena”, już od dość dawna toczyły się rozmowy na temat konieczności urządzenia wycieczki do Warszawy, celem zwiedzenia Muzeum Powstania Warszawskiego. Ostatecznie energicznie tą sprawą zajęła się nasza koleżanka Maria Krzyżańska i po uzgodnieniu transportu, noclegu i wyżywienia w Warszawie ustalono termin wycieczki na 11 czerwca br. Przygodkowo tak się złożyło, że na ten dzień przewidziano w Warszawie odsłonięcie pomnika generała Grota-Roweckiego – a więc dodatkowo nie przewidziana okazja!. Koleżanka Urszula Hoffmann opracowała program wycieczki, zaś piszący te słowa sporządził uproszczony szkic przewidzianych do zwiedzania obiektów w Warszawie. Udział w wycieczce – oprócz kilku członków Zarządu Okręgu, jak wspomniane wyżej osoby i kol. kol. Ludwik Misiek, Mieczysław Pieńkowski, Jerzy Podonowski, Witold de Mezer, Mieczysława Woch, Jerzy Żurkowski – wzięło wielu członków naszego Związku, a także kilka osób spoza Związku, interesujących się historią ostatniej wojny. Razem uczestniczyło ponad czterdzieści osób.

O siódmej rano 11 czerwca spod Urzędu Wojewódzkiego, autokarem firmy „Smotek” po powitaniu uczestników przez kol. M. Pieńkowskiego – wyruszono. Pogoda i humory dopisywały, więc wkrótce po odśpiewaniu „Kiedy ranne ...”, koleżanka Urszula, w trakcie mijanych miejscowości, rozpoczęła swój program informacyjny, opowiadając wyczerpująco historię zdarzeń związanych z tymi lub okolicznymi miejscowościami. W miarę potrzeby wiele osób włączało się do dyskusji, uzupełniając relacje kol. Urszuli swoimi dodatkowymi spostrzeżeniami.

Pięć godzin jazdy szybko minęło i przez niezbyt zatłoczone ulice Warszawy, dzięki wytrawnemu kierowcy p. Zdzisławowi Smotkowi bez większych kłopotów dotarliśmy na przeciwległe peryferie miasta do Wesołej, gdzie zakwaterowaliśmy się w Domu Rekreacyjnym. Po krótkiej toalecie i wypoczynku, zjedliśmy smaczny obiad i wyruszyliśmy do centrum, gdzie o godz. 16-tej miało nastąpić uroczyste odsłonięcie pomnika Generała, usytuowanego u zbiegu ulicy Chopina z Alejami Ujazdowskimi.

Przybyliśmy na czas. U zbiegu wspomnianych ulic zastaliśmy tłum ludzi – obok pomnika stoją w ordynku wojsko i poczty sztandarowe, oprócz akowskich różnych organizacji, szkolnych, miejskich, harcerskich. Wśród tłumu krążą pary harcerek z wodą dla spragnionych i pomocą sanitarną. Zjawiają się oficjele – na czele prezydent Warszawy prof. Lech Kaczyński, Prymas Polski ks. kard. Józef Glemp, na wózku Prezes ŚZZAK Stanisław Karolkiewicz, bratanica Generała prof. Krystyna Rowecka-Trzebicka, przedstawiciele MON, Sejmu i Senatu. Orkiestra gra hymn – wojsko prezentuje broń, unoszą się sztandary, ludzie stoją w skupieniu. Następuje odsłonięcie pomnika – dokonuje go bratanica Generała w asyście Prezydenta Warszawy i Prezesa ŚZZAK, a poświęca Prymas Polski. Pomnik 6-ciometrowej wysokości z jasnego granitu, dłuta art. Zbigniewa Mikielewicza, przedstawia żołnierza w rogatywce i w luźnym płaszczu.

Głos zabiera Prezydent Lech Kaczyński. Przypomina o 62-giej rocznicy aresztowania pierwszego Dowódcy Armii Krajowej i współtwórcy Polskiego Państwa Podziemnego. Przez wiele lat nie wolno było mówić o takich bohaterach, którzy powinni być wzorem patriotyzmu, a i ostatnio w imię rzekomego nieoglądania się w przeszłość i myślenia tylko o przyszłości, nie stwarzano klimatu dla uczczenia bohaterów narodowych. Dopiero determinacja środowisk kombatanckich, przy wsparciu obecnych władz Warszawy, doprowadziła do godnego uczczenia zasług tak Powstania Warszawskiego, jak i obecnie Generała.





Pomnik gen. St. Roweckiego „Grot”

Po krótkim wystąpieniu Prezesa ŚZŻAK odczytano posłanie od b. prezydenta RP na Uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego, który nie mógł przybyć osobiście. Po wystąpieniach oficjeli, przy odgłosie werbli, następuje składanie wieńców przed pomnikiem, a następnie wszyscy obecni z dygnitarzami na czele, udają się do niedalekiego placu przed Sejmem, gdzie przy pomniku Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej kontynuowany jest dalszy ciąg uroczystości. W pięknym przemówieniu Prezes Stanisław Karolkiewicz podkreślił zasługi Generała oraz Armii Krajowej, których działalność powinna być wzorem dla kształtowania postaw patriotycznych dzisiejszej młodzieży, pozbawionej autorytetów moralnych i karmionej przez miernoty polityczne oraz będące na ich usługach niektóre media, papką globalizmu i konsumpcjonizmu w myśl hasła „róbta co chceta”.

Na zakończenie uroczystości odbył się apel poległych oraz salwa honorowa. Wieczorem w Teatrze Wielkim odbył się koncert pt. „Alejami z paradą mieli iść”, lecz z uwagi na późną porę i ograniczony czas pracy kierowcy, nie skorzystaliśmy z zaproszenia i udaliśmy się na kolację i nocleg do Wesolej do Domu Rekolekcyjnego.

Nazajutrz, tj. w niedzielę 12 czerwca wysłuchaliśmy rannej mszy św. celebrowanej w kaplicy Domu przez ks. kanonika haremistrza Stefana Wysockiego, który jest równocześnie dyrektorem Domu Seniora. W słowach zwróconych do nas przywitał nas i wyraził radość ze spotkania z niektórymi znanymi mu osobami, m.in. druhną Szarych Szeregów Urszulą Hoffmann. Po mszy św. udaliśmy się na śniadanie, po czym żegnając gościnnych gospodarzy, wyjechaliśmy do centrum Warszawy.

Pierwszym miejscem, do którego podjechaliśmy bez większych przeszkód był Pomnik Poległych na Wschodzie u zbiegu ulic gen. Andersa i Bonifraterskiej. Tory i wagony bydlęce, którymi wywożono setki tysięcy Polaków z Kresów na Sybir lub do Kazachstanu, przywołują mi wspomnienia z czasów pierwszej okupacji sowieckiej. Takim wagonem w kwietniu 1940 roku wywieziono moją babcię z synową i niespełna rocznym wnuczką do Kazachstanu. Gdy pociąg z deportowanymi zatrzymał się na naszej stacji w Bukaczowcach i gdy z ojcem biegnąc wzdłuż wagonów usłyszeliśmy krzyk babci „Franiu, podaj chociaż mleko!” – zostaliśmy pobici przez enkawudzistę za chęć dostarczenia dziecku mleka... Babcia w Kazachstanie zaginęła bez wieści, bez grobu, szukając w porozrzucanych po stepach wioskach pożywienia dla wnuczka ... Podobne wspomnienia nawiedziły również będącą z nami Dobrochnę Bystrzycką, która jako dziecko również była wywieziona z rodziną do Kazachstanu. Szczęśliwie powróciła.

Kolejnym pomnikiem zwiedzanym przez naszą wycieczkę był Pomnik Powstańców Warszawskich. To już nie jeden obiekt, to szereg postaci w artystyczny sposób przedstawiony zryw oraz dramat Powstańców w ciągu 63 dni walki. Jadąc już na umówiony czas do Muzeum Powstania Warszawskiego, wstąpiliśmy na Plac Piłsudskiego i odwiedziliśmy Grób Nieznanego Żołnierza.



Pomnik Poległych na Wschodzie

I wreszcie Muzeum Powstania Warszawskiego, główny cel naszej wycieczki. Nie czuję się na siłach, chociaż w skróty sposób przedstawić relację z tego Muzeum. To trzeba samemu przeżyć! Te dwie – trzy godziny nie starczyły, na chociaż pobieżne zwiedzanie wszystkich obiektów i eksponatów; właściwie samemu Muzeum należałoby poświęcić odrębny artykuł. Zainteresowani z pewnością na ten temat znajdą wiele opracowań w różnych pismach, zwłaszcza w okresie rocznicy Powstania. Krótko nadmienię, że Muzeum znajduje się przy ulicy Przyokopowej w starej elektrowni tramwajowej. W jego skład wchodzi główny budynek i otoczenie. W otoczeniu znajduje się mur z nazwiskami poległych żołnierzy Powstania i m.in. Dzwon „Monter”.

W zasadniczym, pięknie odnowionym budynku, znajduje się właściwe muzeum. Najnowsze osiągnięcia techniki elektronicznej wykorzystano do odtwarzania, na życzenie zwiedzających, efektów dźwiękowych i obrazów z walk. Duże wrażenie robią makiety grobów poległych Powstańców i kanałów z wygiętymi kratami i włazami z podwieszonymi granatami. Tysiące rekwizytów jak opaski, hełmy, broń, przedmioty codziennego użytku z okresu Powstania, plansze, kalendarze z kartkami na każdy dzień walk ... Nie sposób wszystkiego wymienić.

Pełni wrażeń i nieco już zmęczeni udajemy się na obiad do kasyna przy ulicy Koszykowej. Po obiedzie już bezpośrednio ruszamy w drogę powrotną – do Poznania, gdzie docieramy w godzinach wieczornych. Jeszcze podziękowania organizatorom udanej wycieczki i panu Zdzisławowi za wspaniałą jazdę. Żegnając się, wyrażamy nadzieję na kolejną, równie interesującą wycieczkę.

Tadeusz Tomkiewicz

### **1.6. Komisja Historyczna ŚZŻAK Oddziału Konin informuje**

1. 12 stycznia 2005 r. odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze członków naszego Oddziału AK. Na zebraniu był wiceprezes Okręgu kpt. mgr Ludwik Misiak.
2. 14 lutego 2005 r. o godz. 19<sup>00</sup> w kościele pod wezw. św Maksymiliana Kolbe w Koninie odbyła się uroczysta msza święta związana z 63 rocznicą przemianowania ZWZ w AK. Po mszy członkowie naszego Oddziału AK, wraz z mieszkańcami Konina przeszli pod Stację Armii Krajowej by wysłuchać krótkiego przemówienia kol. Eugeniusza Pawlaka – prezesa Oddziału AK Konin oraz złożyć kwiaty i zapalić znicze.
3. 23 kwietnia 2005 r. II Liceum w Koninie obchodziło 40-lecie istnienia z nadaniem imienia i sztandaru. Patronem został Krzysztof Kamil Baczyński, żołnierz AK, poeta. Zginął w Powstaniu Warszawskim. 23 kwietnia placówka otrzymała nie tylko nowe imię, ale również sztandar, który zaprojektował nauczyciel Piotr Dąbrowski. Jego fundatorami byli uczniowie, nauczyciele, absolwenci oraz wypróbowani, niezawodni sojusznicy II Liceum. Przemawiali: Sławomir Lorek – dyrektor II Liceum, Andrzej Nowakowski – wojewoda, Eugeniusz Pawlak – prezes naszego Oddziału AK, Krzysztof Dobrecki – dyrektor wydawnictwa „Przegląd Koniński” oraz Wojciech Adaszewski – przedstawiciel ZNP. Uroczystość była okazją do wręczenia nagród i wyróżnień.
4. 3 maja 2005 r. odbyły się w Koninie uroczyste obchody 214 rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja.

5. 9 maja 2005 r. w Koninie odbyły się uroczyste obchody 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej. Uroczystość na placu Wolności połączoną z wręczeniem odznaczeń, odsłonięciem pamiątkowej tablicy oraz apelem poległych, zakończyły: salwa honorowa wykonana przez kompanię reprezentacyjną J.W. z Powidza oraz złożenie wieńców i zapalenie zniczy przez przybyłe delegacje.

Przewodniczący  
Komisji Historycznej  
(-) kpt. Jan Suseł

Prezes  
Oddziału Konin ŚZŻAK  
(-) por. Eugeniusz Pawlak

## II. MATERIAŁY HISTORYCZNE (wspomnienia i relacje)

### 2.1. Powstańczy Egzamin Dojrzałości

Dowódca Armii Krajowej gen. Stefan Rowecki „Grot” w lecie 1942 r. w związku z planami powstańczymi powiedział: „Jeśliby nas nawet czekać miała walka beznadziejna, to zaniechać jej przecież nie możemy pod grozą odpowiedzialności przed przyszłymi pokoleniami”.

Słowa te najlepiej oddają przyczyny wybuchu POWSTANIA WARSZAWSKIEGO.

1 sierpnia 1944 r. w Warszawie ponad 600 plutonów żołnierzy Armii Krajowej usiłowało przedostać się na miejsca koncentracji, by stanąć o godzinie „W” czyli o siedemnastej do walki jawnej z wrogiem okupującym Stolicę. Już przed wyznaczonym czasem rozpoczęła się bitwa, trwająca 63 dni, której decyzja została podjęta samorzutnie przez cały naród nie w sierpniu tego roku, ale we wrześniu 1939. Decyzja, umotywowana najbardziej naturalnym pragnieniem człowieka, pragnieniem wolności. Walcząc, byliśmy choć przez chwilę wolni i to się liczyło ponad wszystko. Działo też w Warszawie pragnienie odwetu na Niemcach za lata okrucieństw i zbrodni.

Miejskie pole bitwy o powierzchni około 250 km<sup>2</sup> i w obwodzie ponad 80 km – powodowało konieczność atakowania wroga na różnych odcinkach i o różnym czasie. Powstańcy osiągalni nieprawdopodobną sprawność w ponownym zdobywaniu – zwykle nocą – pozycji, które wcześniej utracili. Codziennie o świcie żołnierze niemieccy powracali do walki. Nie mogąc wyprzeć przeciwnika za pomocą standardowej taktyki piechoty, stosowali broń najcięższą: potężne działa, moździerz oblężnicze, wyrzutnie rakietowe, bombardowanie lotnicze, 68-tonowe czołgi „Tygrysy”, ostrzał z kanonierki na Wiśle i pociągu pancernego, wreszcie zdalnie sterowane miny – „Goliaty”. Obracali placówki powstańcze w sterty gruzów i zdobywali parę metrów ziemi lub parę ulic, by je znowu utracić w nocy.

Powstańcy walili się z nóg, nieustannie ostrzeliwanie, brak wypoczynku, snu,żywienia – nie załamały jednak tych twardych żołnierzy. Pomimo przewagi w ludziach i sprzęcie, dowództwo 9. niemieckiej Armii frontu wschodniego wyrażało w swoich ocenach niezadowolenie z przebiegu bitwy, stwierdzając, że polscy bandyci w Warszawie walczą fanatycznie i zaciekle i że uzyskane przez własne oddziały wyniki po trzytygodniowej bitwie są nikłe, mimo wsparcia licznymi, najbardziej nowoczesnymi środkami walki. Niemcy przyznawali, że muszą walczyć o każdy niemal kamień.

Dnie zmieniały się w tygodnie i wreszcie, ku obopólnemu zdumieniu walczących, tygodnie zaczęły zamieniać się w miesiące. 21 września 1944 r. w przemówieniu do

dowódców okręgów i komendantów szkół wojskowych Heinrich Himmler stwierdził, że walka ta jest najbardziej zażarta, jaką wojsko niemieckie przeprowadziło od początku wojny. Można ją porównać jedynie z walkami ulicznymi w Stalingradzie.

Młodych Powstańców – nazywanych przez ludność cywilną „chłopcami” lub „naszymi chłopcami” – nie zrażały straszliwe straty, nie kusila nadzieja na uratowanie życia przez oddanie się do niewoli, bo to również oznaczało śmierć z rąk wroga. Uzbrojenie, jakim dysponowano podczas Powstania, narzucało niezwykle nierówną walkę. Atutem była bezwzględna lojalność oraz ofiarna współpraca mieszkańców Warszawy, ponoszących trudy życia w walczącym mieście i ginących masowo od bombardowań a zwłaszcza zbiorowych mordów w zdobywanych przez hitlerowców dzielnicach i domach.

Ale straty ludzkie nie rozkładały się równo na wszystkie generacje. Proporcjonalnie najwięcej ofiar było wśród żołnierzy powstańczych osiemnasto- dwudziestoletnich, bo to oni bronili barykad jak „kamienie rzucone na szaniec”. Świadectwem ich niezłomnego ducha jest wiersz „Do Powstańca”, napisany przez żołnierza Batalionu „Kiliński”, około 30 sierpnia. Oto fragment:

„Pamiętaj, nie wolno ci zwątpić  
w wolność, co przyjdzie choćbyś padł.

Pamiętaj, że na ciebie patrzy  
Ogromny i zdumiony świat (...)

Choćby zawiodła wszelka pomoc,  
Choć przyjdą dni głodu i moru,  
Ostatniej stawki nie przegramy –  
s t a w k i n a s z e g o h o n o r u”.

W latach drugiej wojny światowej, a szczególnie w Powstaniu Warszawskim, młodzież polska zdawała swój najtrudniejszy egzamin dziejowy. Program wychowawczy nakreślony w okresie międzywojennym, który realizowała szkoła i organizacje młodzieżowe, korpusy kadeckie oraz rodziny – propagował wzorzec uczciwego, pracowitego, lojalnego wobec państwa obywatela. W zmienionych warunkach okupacyjnych podstawowym zadaniem młodego pokolenia miała być walka z okupantami o niepodległość kraju.

Powstanie w Warszawie jest wykwitem pięcioletniej konspiracji. Droga wiodła poprzez tajne harcerstwo, służbę kolporterską, łącznościową, mały sabotaż, tajne podchorążówki – do wojska i realizacji jego zadań.

Pierwsze pokolenie Polski Podziemnej młodej Warszawy – wspomagane młodzieżą z innych regionów Polski – zdawało swój egzamin dojrzałości c e l u j ą c o w ogniu bitwy powstańczej. To nie przypadek, że największą ofiarę krwi i życia złożyły bataliony harcerskie „Zośka” i „Parasol”, w plutonach, których straty na szlaku bojowym Wola – Stare Miasto – Czerniaków – przekraczały 50 a nawet 75 procent stanu. Niewiele za nimi uplasował się, walczący na Mokotowie, kadrowy pułk „Baszta”, złożony głównie z młodej inteligencji Żoliborza a także kontynuujące tradycję 21. pułku piechoty im. „Dzieci Warszawy” – zgrupowanie „Żaglowiec”, które w walkach o Cytadelę, w natarciach na Dworzec Gdański i końcowej bitwie niemal całkowicie straciło kilka plutonów. W nich też walczyła i ginęła młodzież, licząca nawet poniżej 18 lat, jak np. w moim 209. Plutonie. Takich oddziałów wymienić można więcej.

Po zwycięskim boju powstańczym –

„Alejami z paradą

Będziem szli defiladą

W wolną Polskę, co wstała z naszej krwi” –

jak głosiła szturmowa piosenka „Parasola”.

Niestety, do tej parady nigdy nie doszło. Na tych, którzy przeżyli Powstanie, czekały więzienia, tortury, wyroki śmierci, represje.

Dopiero rok 1989 przyniósł prawdziwą, wywalczoną wolność. Niewielu jej jednak doczekało. Pamiętajmy o osiemnastu tysiącach żołnierzy powstańczych, oddających życie w nierównej walce w imię powinności wobec Ojczyzny!

Fenomen zeszłorocznych obchodów 60. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego pozwala mieć nadzieję na głębsze przeobrażenia polskiej świadomości zbiorowej. Na powrót do kanonów wartości, które uznawała tamta wspaniała i tragiczna młodzież, a do których dzisiejsza – może bardziej intuicyjnie niż świadomie, ale jednak nawiązuje, a może – wraca. I odzyskuje pamięć o swoich ówczesnych rówieśnikach, dla których ani triada „Bóg – Honor – Ojczyzna” ani przeświadczenie o rzeczywistym znaczeniu takich pojęć jak ofiarność, poświęcenie, wierność, odwaga, solidarność – nie były pojęciem abstrakcyjnym.

W tym sensie odzyskanie pamięci o ARMII KRAJOWEJ oznacza nie tylko przyswojenie prawdziwych dziejów Ojczyzny. Oznacza też odzyskanie pełniejszego wymiaru życia.

Por. dr Zofia Grodecka „Ewa”

## 2.2. Walki o gmach YMCA

Po zdobyciu rejonu Frascatti-Nulla oraz gmachu YMCA, mieliśmy więcej wolnego od ostrzału terenu. Jednak musieliśmy przeskakiwać przez Frascatti idąc na służbę na Nulla, groził nam bowiem ostrzał k-mu z Izby Handlowej na Wiejskiej. Został więc przekopany tunel, łączący nasze pozycje po jednej stronie ulicy z drugą, tak by Niemcy nie widzieli nas przekraczających ulicę. Tunel był wykopany z wielkim wysiłkiem i przydał się nam bardzo w czasie ataków niemieckich w dniach 11–12.09.1944, gdy Niemcy chcieli odzyskać utracone tereny oraz gmach YMCA.

Zaczęło się to wówczas, gdy przenosiłem meldunek o pomoc dla obsady Nulla do por. „Bończy”. Niemcy atakowali zaciekle, wypychając naszych z tego rejonu. Wiele osób zostało zabitych oraz rannych na terenie Nulla i Ambasady Francuskiej. Gdy powróciłem do gmachu YMCA, pojawiły się „Pantery” i rozpoczęły ostrzał budynku. Nie będąc wtedy na służbie, zdałem mój karabin kolegom i tylko byłem bezbronnym obserwatorem tego, co się działo. Leżałem na stanowisku koło kpr. „Grota” i patrzyłem na przedpole.

Gmach YMCA leży w takim wykopie – wąwozie tak, że ulice były powyżej naszego stanowiska. Z wjazdu Pantery wyszli dwaj czarni pancerniacy, i bez obawy zaczęli coś tam grzebać przy ich czołgu. Dopiero nasz ostrzał z górnych pięter YMCA zmusił ich do schowania się za czołg i potem weszli do środka. Byli tak na strzał z mojego karabinu! Ale my nie mieliśmy nic do strzelania. Pociski z czołgów rozrywały się na murach YMCA jak na jakiś bunkrach. Byłem już wtedy na stanowisku na Konopnickiej, skąd

dokładnie było widać skutki ich ostrzału. Mój karabin został w czasie tego ostrzału rozbity i przywalony gruzem.

Ponieważ byliśmy już bardzo długo w akcji, polecono nam, kilku młodszym z plutonu, udać się na kwaterę i położyć się spać. Przyszły nam z pomocą jakieś plutony ze Starówki i nawet z Al-u. Wydawało mi się że spałem parę minut, a to już było po północy, gdy ktoś nas zerwał ze snu, alarmując, że Niemcy nas atakują. Pobiegłem szybko do por. „Bończy” po jakieś granaty i butelki zapalające. Po dostaniu paru granatów – te naszej produkcji, były z takim lontem, który po potarciu, jak zapalkę, trzeba było odrzucić, ale one ciągnęły za sobą smugę ognia, widoczna dla wroga. Stąd każdy wyrzucony przez nas granat powodował silny i celny ostrzał wroga.

Był w naszym plutonie jeden kolega jeszcze z Woli, pseudonim „Kozak” – z racji takiej noszonej przez niego „Papachy” – on też dostał sporo granatów i butelek zapalających i razem udaliśmy się na tę pozycję na Konopnickiej, gdzie od strony Frascatti atakowali Niemcy. „Kozak” (Ryszard Chojnacki) zostawił – i ja też zostawiłem – część naszego bogactwa broni, na półpiętrze między piętrem II a III. Wiedzieliśmy, co robimy, ponieważ znaliśmy ten nasz teren dobrze. Zajęliśmy narożne pokoje i narożne okna w budynku, gdzie dodatkową osłoną od niemieckich kul były ściany sąsiedniego budynku.

Ponieważ była ciemna noc, bez jakiś świateł, można było tylko polegać na słuchu – każdy krok przebiegającego przez ulicę pełną stłuczonego szkła żołdaka był wyraźnie słyszalny. I te wrzaski komenderujących nimi oficerów! Niektórzy żołdacy byli na tyle cwani, że zdejmowali buty i biegli w skarpetkach. Ale hałas i tak był! Na taki rumor, rzucaliśmy im z góry na łby nasze granaty lub dla odmiany butelki zapalające, dające tam na dole oświetlenie przedpola dla naszego km-u, umieszczonego w piwnicy.

Pomny moich wcześniejszych doświadczeń z wystawianiem się na strzał, nie rzucałem granatów i butelek prawą ręką, bo musiałem się całkowicie odsłonić, rzucałem lewą ręką. I tak nie były to dalekie rzuty – z III-go piętra jakieś 20–25 metrów – prosto na niemieckie łby. Każdy mój rzut powodował szalę wściekłości w obsadzie niemieckiego k-mu na parzystej stronie ulicy Frascatti, gdzieś na II albo III piętrze. Tak trwało do momentu stwierdzenia braku granatów i butelek. Zszedłem na półpiętro i zajrzałem do tej szafy, ale tam już nic nie było – wybrał je już „Kozak”. Tam się też spotkaliśmy i stwierdziliśmy, że trzeba nam udać się do por. „Bończy” po nowe zapasy.

Schodząc na sam dół, a była tam taka mała barykadka, broniona przez kolegów ze Starówki, stwierdziliśmy, że nikogo tam nie ma i nikt nie strzela. Wychodząc na podwórko w kierunku naszej kwatery, potknąłem się o jakąś broń. Podniosłem ją – to była Błyskawica i parę magazynków. A na podwórku usłyszałem nagle Halt. Hände hoch. Ale to były nasze, Polskie głosy. Zacząłem się do nich drzeć: czyście powariowali, to my od „Bończy” ale oni się dalej upierali, że tam są tylko Niemcy. Spytałem: gdzie? Na parterze! To dajcie mi tu granat a ja ich załatwię. Dali mi granat, a ja znając rozkład tych mieszkań, wrzuciłem tam spokojnie granat. I było po wszystkim.

Oddałem por. „Bończy” ten pistolet i magazynki i dostaliśmy nową porcję granatów i butelek. Obaj cofnęliśmy się do budynku i wróciła tam też obsada naszego km-u, tak że był znowu wcale nie zdobyty przez Szwabów nasz punkt oporu. Ale to niemieckie natarcie się już załamywało – nasze km-y z gmachu YMCA też dały im popalić, tłukąc ich w tym parowie. Bo niemieckie natarcie szło głównie na wejście na salę kinową w YMCA, trochę też zahaczając o nasze pozycje. A tam w parowie dostawali ogień prosto w zęby.

Żeby się dostać do YMCA musieli przebiegać koło nas. Tu dostawali ogień z k-mu i nasze granaty i butelki, a w parowie dostawali ogień z YMCA. Słyszeliśmy wrzaski tych rannych po naszych rzutach granatów i butelek, ale każdorazowo dostawaliśmy serię za serią po naszych ognistych granatach. Gdy już ucichły wrzaski rannych i nie było dalszych prób ataku, zaczęło się robić szaro, wtedy ze strony niemieckiej zaczęli krzyżeć ludzie po polsku: panowie, nie strzelajcie, my musimy zabrać niemieckie trupy i rannych, jesteście zakładnikami z Sejmu. My darliśmy się do nich, ażeby zostawiali broń i amunicję tych Niemców lub porzucali ją pod nasze budynki. Tak się też stało – dostało się nam sporo broni i amunicji, a także jeden odważny cywil uciekł, co prawda za cenę rany, bo go już o świecie postrzelił ten z Izby Handlowej.

W tym mieszkaniu na parterze to był jeden Niemiec, miał tatuaż na ręce z KZ-u – chyba kryminalista lub kapo, bo takich brali na końcu wojny do Wehrmachtu! Rano poszedłem zobaczyć te moje i „Kozaka” stanowiska: w ścianach obu pokojów były wystrzelane ogromne na 1,5 – 2 m dziury po seriach niemieckich km-ów. A my wyszliśmy z tego cało, pamiętając o chronieniu własnej głowy! I obaj przeżyliśmy Powstanie, później całą niewolę i wreszcie okres PRL-u!

Wojciech Wiewiorowski

### 2.3. Jerzy Eugeniusz Zborowski „Jeremi” 1922–1944

W Powstaniu Warszawskim zastępca dowódcy Batalionu „Parasol”, od 6 sierpnia 1944 r. objął dowodzenie Oddziałem. Oficer rez. Piechoty WP: podporucznik (1943), porucznik (sierpień 1944). Odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Orderem Wojennym Virtuti Militari V klasy (14 sierpnia 1944). Używał pseudonimów: Jurek, Jurek Kowalski, Kajman, Okularnik, Jurek Żoliborski, Jeremi.

Urodził się 26 lipca 1922 r. w Warszawie jako syn Eugeniusza, urzędnika i Heleny Kutnik. Uczył się w Gimnazjum Państwowym im. Adama Mickiewicza w Warszawie, później w Gimnazjum im. ks. Józefa Poniatowskiego, gdzie na tajnych kompletach w 1940 r. uzyskał świadectwo dojrzałości. Studiował w działającej jawnie Państwowej Szkole Budowy Maszyn.

Mieszkał przy ul. Gdańskiej na Żoliborzu i z tą dzielnicą związał swoją początkową działalność konspiracyjną, biorąc udział w tajnej organizacji młodzieżowej o kryptonimie „PET”, mającej charakter samokształceniowy i wychowawczy. Wkrótce został przywódcą jej koła żoliborskiego, stając się jedną z najpopularniejszych postaci młodzieży tej dzielnicy. Uczestniczył wówczas w akcjach Organizacji Małego Sabotażu „Wawer”.

W jesieni 1942 r. przeszedł do Grup Szturmowych Szarych Szeregów; działał w hufcu „Centrum”, dowodzonym przez Tadeusza Zawadzkiego „Zośkę”. Brał udział w wielu akcjach dywersyjnych, m.in. jako kierowca w akcji pod



Jerzy Eugeniusz Zborowski  
„Jeremi”



Arsenałem, w akcji odbicia więźniów pod Celestynowem, dowodził także atakiem na niemiecki pociąg pośpieszny pod Gołębiem na linii Dęblin – Lublin (26 czerwca 1942 r.).

Po ukończeniu kursu, uzyskał 15 sierpnia 1943 r. stopień harcmistrza. W tym samym miesiącu został odkomenderowany do tworzącego się oddziału specjalnego „AGAT” – „PEGAZ” – „PARASOL” i od września 1943 r. był zastępcą kpt. Adama Borysa „Pługa”. Teraz używał wyłącznie pseudonim „Jeremi”.

W „Parasolu” dowodził akcjami likwidacyjnymi np. udanym zamachem na znanego z okrucieństwa funkcjonariusza Pawiaka, Franza Bürcla (7 września 1943 r.) Po wykonaniu wyroku na dowódcy SS i Policji Dystryktu Warszawskiego, gen. Franzu Kutschcherze (1 lutego 1944 r.), zorganizował wywiezienie rannych bojowców ze Szpitala Przemienienia Pańskiego, bezpośrednio przed najściem gestapowców. 4 kwietnia 1944 r. dowodził akcją na niemiecki pośpieszny pociąg urlopowy pod Płochocimem.

W Powstaniu Warszawskim faktyczny dowódca Batalionu „PARASOL” (od ciężkiego zranienia 6 sierpnia 1944 r. kpt. Adama Borysa). Walczył na Woli, Starym Mieście i na Czerniakowie. Za wybitne dowodzenie oddziałem „Parasol” na terenie Grupy „Północ”, mianowany porucznikiem rezerwy 22 sierpnia 1944 r. przez płk. Karola Ziemskiego „Wachnowskiego”.

Generalne natarcie niemieckie na Czerniaków uderzyło głównie na stanowiska obsadzone przez „Parasol” na Solcu i Ludnej. „Jeremi”, mimo powierzchownej rany głowy, dokuczliwej rany nogi i kontuzjowanej ręki – dowodził nadal Batalionem. Wycofał oddział do wielkiego gmachu PKO i przywrócił wiarę w powodzenie bitewne po udanym odparciu ciężkiego ataku żołnierzy SS.

„Parasol” tym razem jeszcze obronił swoje stanowiska ale 14 września 1944 nad budynek PKO nadleciały samoloty i przez parę godzin zrzucały bomby, po czym włączyły się działa szturmowe i czołgi a z sąsiednich ruin były dziesiątki karabinów maszynowych. „Parasol” poniósł ciężkie straty. „Jeremi” został ranny po raz czwarty, tym razem ciężko, gdyż pocisk przebił prawy bok, przechodząc tuż obok wątroby. Złożony w piwnicy, nadal współdziałał w dowodzeniu a bezpośrednio dowództwo w walce objął „Jurek Lot”. Jeremim opiekowała się jego żona, Janina z domu Trojanowska, córka gen. Mieczysława Trojanowskiego, żołnierz Batalionu „Parasol”, ranna w twarz na Woli.

Końcowy etap walk zastał Zborowskich na Wilanowskiej 1, skąd „Jeremi” został wyniesiony na noszach przez przygodnych mężczyzn w tłumie wygarniętych przez Niemców mieszkańców Czerniakowa. Konwojenci niemieccy skierowali pochód na Aleję Szucha. Tutaj rozdzielono zatrzymanych na rannych i zdrowych. Niektórzy z żołnierzy akowskich ocaleli, zdolawszy się przedtem przebrać w odzież cywilną. Wszystkich ubranych w panterki, gestapowcy rozstrzelali na miejscu lub w drodze na Dworzec Zachodni.

„Jeremi” na Szucha został oddzielony od ludności cywilnej i widziano go wraz z żoną koło zajętego przez policję niemiecką Domu Akademickiego na placu Narutowicza. Tutaj ślad się urywa i domyślać się jedynie można, że koniec jego życia był okrutny o co postarali się oprawcy z Gestapo, jednej z najbardziej zbrodniczych instytucji, jaką znała ludzkość, organizacji, z którą „Jeremi” walczył przez długie lata. Wraz z nim śmierć poniosła jego żona kpr. – łącznik Janina Zborowska – „Jasia”.

Cześć Ich pamięci!

Zofia Grodecka

## 2.4. Poznańskie harcerki w Powstaniu Warszawskim\*

Wszystkie były radosne, pełne życia, miały plany na przyszłość, po skończeniu szkoły. Były harcerkami XVII PZDH im Wandy Malczewskiej, brały udział w obozach harcerskich stacjonarnych i wędrownych, pełną piersią śpiewały piosenki harcerskie, ludowe i wojskowe zgromadzone wokół ogniska, czy to było na obozie na Wileńszczyźnie, na Huculszczyźnie, w Pieninach ...

1 września 1939 r. Wszystko się zmieniło, ale pozostała w nas miłość Ojczyzny, dążenie do przetrwania tej okrutnej wojny i chęć by „całym sercem służyć Bogu i Polsce”. Takie bowiem otrzymałyśmy patriotyczne wychowanie w naszych rodzinach, w szkole i w harcerstwie.

Po wejściu Niemców do Poznania, okupanci rozpoczęli wywożenie Polaków do Generalnego Gubernatorstwa i wyrzucanie ich z własnych domów w ciągu ca 20 minut. Mimo tej sytuacji szybko nawiązywałyśmy ponowne kontakty. Uczennice SS Urszulanek pozostałe w Poznaniu działały w konspiracyjnej drużynie Szarych Szeregów, a te wywiezione do GG włączyły się do konspiracji ZWZ – AK, często wraz z całymi rodzinami.

Jedną z takich rodzin byli **Draheimowie** z Poznania. Ojciec Józef w czasie okupacji musiał się ukrywać. Z fałszywymi papierami, pod przybranym nazwiskiem zaszył się w Warszawie. Z siedmiorga rodzeństwa – dwie siostry i czterech bracia włączyli się do konspiracji. Józef ze Zgrupowania „Żmija” (Obwód II AK „Żywiciel”) na Żoliborzu zginął 22 września 1944 r., Bernard po kapitulacji Starówki trafił do Oświęcimia, a zmarł w obozie Leitmeritz (Litomierzyce w Czechach) 25 marca 1945 r., Joachim zarażony tyfusem brzuszny zmarł 12 stycznia 1945 r. Zginęły też ich żony: Bernarda – Zofia w obozie w Rawensbrück 14 maja 1945 r. i Joachima – Halina w czasie bombardowania szpitala Dzieciątka Jezus 25 sierpnia 1944 r.

Ich siostry: Maria (1919–2002) i Barbara (ur. 1921) działały aktywnie w konspiracji. Maria w maju 1942 r. włączyła się do walki podziemnej w komórce Pomoc Żołnierzowi w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Podczas Powstania znalazła się w 44 Kompanii Wojskowej Służby Ochrony Powstania, która została włączona do Batalionu „Kiliński” jako 9 Kompania. W sierpniu 1944 r. prowadziła magazyn batalionowy w gmachu Poczty Głównej przy Placu Napoleona. Po pierwszych bombardowaniach została częściowo zasypana i ranna w nogę. W tej sytuacji doszła do wniosku, że jeżeli ma zginąć to na pierwszej linii frontu. Na własną prośbę została 2 września 1944 r. przeniesiona w rejon PASTY i zajmowała się sprawami gospodarczymi w tzw. Reducie Królewskiej (w domu przy ul. Królewskiej 16). Po kapitulacji, za radą dowódcy 5 października 1944 r. opuściła Warszawę z ludnością cywilną. Po wielu trudach, angażując się w opiekę nad rannymi, dotarła do Krakowa. Po wojnie włączyła się do opracowywania historii Batalionu, udzielała się społecznie. Była odznaczona Krzyżem Walecznych.

Zmarła w stopniu podporucznika 30 listopada 2002 r. w wieku 83 lat w Sopocie, a żołnierski pogrzeb w asyście wojskowej odbył się 13 grudnia 2002 r. w Poznaniu na Cmentarzu Górczyńskim. Prochy Marii Draheim-Manczarskiej ps. „Mika” zostały złożone do grobu rodzinnego. Ten żołnierski pogrzeb zgromadził rodzinę przybyłą z całej Polski, liczne grono przyjaciół, koleżanek z lat szkolnych i działalności konspiracyjnej w Batalionie „Kiliński”, którego delegacja przybyła z Warszawy.

---

\* Opracowano wg kolejności alfabetycznej.

Młodsza siostra Marii – **Barbara Draheim-Ginter** ps. „Barbara” i „Basia Mała” po zakończeniu nauki na tajnych kompletach została zaprzysiężona w październiku 1941 r. w AK jako łączniczka sztabu Obszaru Warszawskiego AK. Wybuch Powstania zastał ją w punkcie zbornym. Początkowo biegła z meldunkami, następnie jako łączniczka operacyjna utrzymywała kontakty z Obszarem, przedzierając się kanałami. Tym sposobem wychodziła trzykrotnie poza Warszawę z rozkazami i meldunkami – przez Powiśle lub Czerniaków w Lasy Kabackie i dalej. Za trzecim razem, w pierwszych dniach września 1944 r. nie mogła przedostać się z powrotem do Warszawy, gdyż Niemcy zagazowali kanały. Zajęła się więc w Mrokwie organizowaniem kuchni dla ewakuowanych warszawiaków i przechowalni partyzanckiej broni. Została odznaczona Krzyżem Walecznych.

Kolejna uczestniczka Powstania Warszawskiego to por. **Ewa Korczyńska** (1909–2001). Po zdaniu matury u SS. Urszulanek w Poznaniu w 1929 r. i ukończeniu studiów w ówczesnej Wyższej Szkole Handlowej w Poznaniu w 1934 r. poświęciła się pracy nauczycielki przedmiotów ekonomicznych. Wybuch II Wojny Światowej zmienił jej życie. Wysiedlona przez Niemców wraz z rodziną do Warszawy nie załamała się i niezwłocznie nawiązała kontakt z Komendantką Naczelną Przysposobienia Wojskowego Kobiet Marią Wittek. W styczniu 1940 r. po złożeniu przysięgi została kurierką zagraniczną Odcinka Południe w Dziale Łączności Zagranicznej KG Armii Krajowej o kryptonimie „Zagroda”. Około 50 razy przekraczała granicę, zanosząc pocztę, przynosząc przesyłki pieniężne (dolary), radiostację czy broń, przeprowadzając emisariuszy udających się do Rządu Polskiego na Uchodźstwie względnie wyższych oficerów skierowanych do konspiracji w Polsce.

Po ponad czteroletniej służbie kurierskiej włączyła się 1 sierpnia 1944 r. do Powstania Warszawskiego pełniąc funkcję kierowniczki służby porządkowej Wojskowej Służby Kobiet na Żoliborzu. 14 września 1944 r. została ciężko ranna w bark i rękę. Początkowo leczona w szpitalu powstańczym na Żoliborzu, potem ewakuowana ze szpitalem do Tworek k/Pruszkowa.

Po zakończeniu wojny wróciła do Poznania gdzie pracowała na lotnisku cywilnym jako instruktorka szybowcowa, a od 1947 r. jako nauczycielka. Nie danym jej było jednak pracować zawodowo, gdyż w grudniu 1953 r. została aresztowana i osadzona w więzieniach w Warszawie i Fordonie jako więzień polityczny pod zarzutem utrzymywania kontaktów z emisariuszami Sztabu Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. W więzieniu przebywała 3 lata i 8 miesięcy. Została zwolniona na podstawie amnestii w 1957 r. Odznaczona Krzyżem Virtuti Militarii V klasy i m.in. Krzyżem Walecznych.

Nie może zabraknąć wspomnienia o **Marii Magdalenie Morawskiej** (1922–1944). Urodziła się w Jurkowie w Wielkopolsce z rodziców Marii z Turnów i Kajetana Morawskich. Ojciec Magdy był nie tylko właścicielem majątku Jurkowo, lecz także dyplomata, wiceministrem skarbu i działaczem organizacji rolniczych.

Wychowana w domu, w szkole i w harcerstwie w duchu patriotycznym, włączyła się w Warszawie do konspiracji. Została członkiem Konfederacji Narodu, żołnierzem w Uderzeniowym Batalionie Kadrowym. Współpracowała z tajnym pismem „Sztuka i Naród”. Władając biegle językami francuskim i niemieckim, jako żołnierz Komendy Głównej Armii Krajowej wykonywała zadania wywiadowcze w Hamburgu i Berlinie. Jeździła tam jako rzekoma „folksdojczka”. Podejmując pracę w szwajcarskiej firmie farmaceutycznej La Roche na Mokotowie dokonała rozeznania umożliwiającego spraw-

ne przeprowadzenie akcji i zdobycie dla Kedywu partii leków i środków opatrunkowych.

W dniach 19 i 20 lipca 1944 r. była łączniczką Oddziału Osłonowego Kedywu, skoncentrowanego w rejonie cmentarza Powiażkowskiego do planowanego odbicia więźniów z Pawiaka. Akcja ta została jednak w ostatniej chwili odwołana. Dzięki temu, że Magda została wcześniej wysłana z meldunkiem, ocalała podczas gdy część żołnierzy osłony zginęła w starciu z oddziałem niemieckich lotników.

W Powstaniu Warszawskim Magda Morawska była łączniczką dowódcy Zgrupowania „Radosław”. W czasie pełnienia służby została ranna odłamkiem w brzuch na ulicy Okopowej 41. Zmarła w szpitalu św. Jana Bożego. Sierżant Maria Magdalena Morawska ps. „Magda”, „Magdalena”, odznaczona Krzyżem Walecznych została pochowana na Cmentarzu Wojskowym na Powiażkach Kwatery A 29.

Do konspiracji włączyły się też dwie siostry wywiezione z Poznania: **Irena Krystyna Pietrasz-Berger** (ur. 1920 r.) i **Czesława Pietrasz-Kowalska** ps. „Siarka” (ur. 1926 r.) córka Antoniego. Obie działały jako sanitariuszki w batalionie „Kiliński”. Irena Krystyna była sanitariuszką w kompanii „Szare Szeregi”. Działała jako patrolowa patrolu sanitarnego w Śródmieściu. Po kapitulacji pracowała jako sanitariuszka jeńców AK w szpitalu w Zeithain, a następnie dotarła do stalagu Oberlangen VIC i otrzymała numer jeniecki 298860.

Podobną drogę przeszła jej siostra Czesława. Sanitariuszka batalionu „Kiliński”. Została też skierowana do szpitala jeńców AK w Zeithain, a następnie do stalagu Oberlangen VIC (numer jeniecki 298861).

Również wielodzietna rodzina **Radajewskich** straciła w Powstaniu Warszawskim dwoje dzieci: córkę Marię i syna Włodzimierza. Udział brała też młodsza córka Romana, która powstanie przeżyła.

**Maria Bogumiła Radajewska** (1922–1944) urodziła się jako trzecie dziecko w rodzinie Cecylii Płocieniak i Stefana Radajewskich. Ojciec Marii był przemysłowcem. Od najmłodszych lat pogodna, wesoła, bardzo koleżeńska i nieprzeciętnie zdolna. Od 1 klasy szkoły podstawowej do 4 klasy Gimnazjum uczęszczała do SS. Urszulanek. W 1939 r. zdała małą maturę.

Radosne lata młodości przerwał wybuch II wojny światowej. Niemcy wśród narzuconego terroru od momentu wejścia do Poznania zaczęli realizować swój plan wywozu poznaniaków do Generalnego Gubernatorstwa. W pierwszej kolejności byli wywożeni inteligenci, znani patrioci, działacze społeczni oraz rodziny zamożne zajmujące własne obszerne domy. Pozostawione przez wywiezionych mieszkania z całym dobytkiem zostały przeznaczone dla tzw. Niemców Bałtyckich, przywożonych do Kraju Warty z Litwy, Łotwy i Estonii. Takı los spotkał rodzinę Radajewskich. Zostali wywiezieni do Limanowej.

Dopiero po pewnym okresie cała rodzina przeniosła się do Warszawy. Tu też Maria kontynuowała naukę na tajnych kompletach i zdała maturę w szkole pań Roszkowskiej i Popielewskiej. Dalsze studia kontynuowała na tajnej Politechnice Warszawskiej, która działała pod przykrywką Szkoły Mechanicznej Jagodzińskiego. Zdażyła skończyć trzy lata studiów. Jako harcerka z krwi i kości włączyła się niezwłocznie do konspiracji harcerskiej, a od 1940 r. została zaprzysiężona jako żołnierz ZWZ – AK. Przeszła przeszkolenie w służbie sanitarnej.

W momencie wybuchu Powstania podjęła służbę jako sanitariuszka patrolu sanitarnego „FOKI” – pluton 183 batalionu „Golski”. Punkt sanitarny był zlokalizowany przy ul. Polnej. Już 2 sierpnia 1944 r. na prośbę żołnierzy ze 135 plutonu o pomoc dla

ciężko rannych kolegów znajdujących się w zdobytym przez ten pluton budynku byłego Departamentu Kawalerii Ministerstwa Spraw Wojskowych przy ul. Marszałkowskiej 24/26, sanitariuszki dotarły do tego budynku, fachowo opatrzyły rannych i dały im wzmacniające zastrzyki. Jednak 3 sierpnia 1944 Niemcy rozpoczęli szturm na budynek i pod osłoną ciężkiej broni wdarli się na parter gdzie sanitariuszki pełniły swą służbę do końca. Razem z ciężko rannymi zostały zamordowane przez Niemców: Barbara Grochowska, Halina Hackiewicz – plutonowa patrolu sanitarnego „Foka” i Maria Radajewska.

Rodzinę Radajewskich spotkał w czasie trwania Powstania Warszawskiego jeszcze jeden cios. 7 września 1944 r. zginął w rejonie ulic Warszawskiej i Świętokrzyskiej brat Marii – Włodzimierz, plutonowy podchorąży ze Zgrupowania „Koszta”. Pełnił służbę jako dowódca plutonu w Kompanii Ochrony Sztabu. Zginął ostrzelany przez Niemców z karabinu maszynowego, umieszczonego na kościele św. Krzyża. Przed wojną był harcerzem XIX PDH ZHP im. Romualda Traugutta przy Gimnazjum i Liceum im. Marii Magdaleny w Poznaniu.

Najmłodsza z rodzeństwa Radajewskich – Romana, sanitariuszka walczyła do końca trwania walk w Warszawie. Podobnie jak jej siostra Maria była związana ze Zgrupowaniem „Golski” i działała w rejonie ulic Polnej i Świętokrzyskiej. Pod koniec działań przeniesiona do batalionu „Jeleń” – pluton 1108. Po kapitulacji przebywała w obozach jenieckich: Fallingbomel XI B – numer jeniecki 141640, następnie w Bergen-Belsen, a od 23 grudnia 1944 r. w Oberlangen w pobliżu granicy holenderskiej. Obóz został wyzwolony przez polskich żołnierzy z 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Dziś jest członkiem Środowiska „Syrena” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Okręg Poznań.

W Powstaniu Warszawskim brały udział również uczennice SS. Urszulanek i harcerki „XVII”: **Anna Danielewska** (ur. 7 maja 1923 w Łodzi) w jednostce numer 47461-1-2, przebywająca najpierw w stalagu XIA Altengraben, a następnie w Oberlangen oraz **Krystyna Kocimska-Piechocka** (ur. 15 listopada 1926 r. w Kruszwicy) ps. „Kocia”, działała w Śródmieściu w batalionie „Iwo-Ostoja”. Cała jej rodzina, tj. rodzice, dwaj bracia i babcia, zginęła od bomby niemieckiej, w czasie nalotu 13 września 1944 r.

**Barbara Zielińska-Okoniewska** walczyła w Powstaniu w batalionie „Kiliński”, lecz po kapitulacji wyszła z rodzicami jako cywil i dostała się do Pruszkowa.

Por. Urszula Hoffmann

Uwaga: Przy opracowywaniu niniejszego artykułu korzystałam z danych zamieszczonych w informatorze „Czuwaj wiaro” wydanym przez Muzeum Walk Niepodległościowych Poznań 2004 oraz z materiałów Romany Radajewskiej-Stobieckiej.

## 2.5. Mój udział w operacji „Burza” w I bat. 2 ppłeg AK „Sandomierz” w 1944 r.

### Fragment fazy pierwszej – Wypad zbrojny do wsi Łopata

Zapadł ciepły, pogodny wieczór 27. lipca 1944 r. Ciszę wieczoru mącił jedynie dochodzący od strony szosy opatowskiej głuchy pomruk motorów wycofujących się zza Wisły oddziałów niemieckich. Strudzeni przeżyciami kilku ostatnich dni, nieustanną czujnością i ustawicznym przemieszczaniem się z wioski do wioski, układaliśmy się

powoli do snu w wymoszczonej aromatycznym sianem pielaszowskiej stodółce<sup>1</sup>, gdy nagle przez rozwarte z pośpiechem wrota wpada do nas zastępca d-cy batalionu (por. „Swojaka”, Ignacego Zarobkiewicza) ppor. „Bruno” (Mazgaj-Marglewski, rodem z pobliskiego Daromina). Podniecona twarz tego wesołego, energicznego, ogólnie lubianego oficera zapowiada jakąś ważną nowinę.

– Chłopaki! – zawołał już od progu – Mamy informację od trzech przybyłych ludzi, synów gospodarzy ze wsi Łopata – stąd będzie ze 4 kilometry – że w ich wsi kwateruje niemiecki oddział taborowy z rozbitej na froncie jednostki. Niemców jest 30 do 40. Śpią w trzech oddzielnych gospodarstwach. Potrzebuję ze 20 zuchów, żeby bez ryzyka się z nimi rozprawić. Rozbroić, ale bez rozlewu krwi, bo by się mogli zemścić na mieszkańcach. Kto na ochotnika? – rzucił rozglądając się zachęcająco po obecnych.

Długo czekaliśmy na taką gratkę! Zgłosiliśmy się oczywiście wszyscy, co do jednego. Spośród chętnych do akcji „Bruno” wybrał tylko 21 chłopca. W tej liczbie znalazłem się i ja. Potem podzielił nas na trzy równe grupy. Pierwszą z nich miał dowodzić młody chłopak, ale z praktyką nabytą jeszcze u słynnych „Jędrusiów”. Drugą grupę powierzył „Bruno” mnie, trzecia zaś – wysokiemu, kościstemu facetowi, znającemu ponoć doskonale okolicę (dałem mu w myśli przydomek „Chudy” – M. Zieliński ps. „Bór”). On też miał objąć dowództwo nad całością. Wyglądał na dwadzieścia dwa – trzy lata. Twarz pociągła, skupiona. Ruchy pewne, zdecydowane. – Będzie dobry! – pomyślałem z zadowoleniem i ... nie bez niejakej ulgi.

Odczekawszy w napięciu, aż nastanie zupełny zmrok, poczęliśmy gromadzić się przed stodółką. „Bruno” fachowym okiem sprawdził nasze wyposażenie. Stanowiły je w większości steny i kilka zaledwie granatów. Na wszelki wypadek polecił nam dozbroić się kosztem żołnierzy pozostających na miejscu. Ja zabrałem ze sobą stena, pistolet „Llama” i latarkę elektryczną. Ostatnie wskazówki „Brunona”, przypomnienie hasła i odzewu i – wymarsz!

Mijamy nasze posterunki na końcu Pielaszowa. Noc ciemna, że choć oko wykol, niebo usiane gwiazdami. Idziemy w milczeniu przyśpieszonym krokiem. Zaczyna się robić gorąco. Czuję, jak po krzyżu spływają mi strużki potu. Skręcamy z drogi w pole. Nogi zapadają się w zaorany niedawno zagonie. Piekielnie ciemno. Omal nie pakuję się na wielki mendel zboża stojący na ścierniskowym pasie. Staram się zapamiętać majaczące w ciemności fragmenty terenu. Może się to przydać: Był najpierw krzyż na rozwidleniu dróg, a teraz mendle ze zbożem. Szukam wzrokiem wśród gwiazd Wielkiego Wozu. Jest! Idziemy wprost w jego kierunku. Cholera! Ale ciężkie te niemieckie buty wojskowe! Co mnie podkuśiło, żeby je kupować przed Akcją od tej handlary? Kto widział piechocińca w butach z cholewami? Oj, przydałby mi się konik, jak w trzydziestym dziewiątym ...

– Prędzej, nie guzdrać się! – dobiega gdzieś od przodu przytłumiony głos „Chudego”.

Podbiegamy, potykając się, do czoła grupy. Gapię się znów na roziskrzone niebo. Na ziemi i tak nic nie widać. Wypatruję spadającej gwiazdy. Chytrze przygotowałem sobie już zawczasu życzenie: „żeby się nam udało!”. Teraz cała sztuka w tym, aby je w porę wypowiedzieć. Wtedy na pewno się spełni...

Zatrzymuję się nagle, taranując ciałem stojącego przede mną towarzysza wyprawy. „Chudy” coś tłumaczy osobnikom w otaczającej go grupie czarnych postaci. A więc,

---

<sup>1</sup> Jana Olszewskiego

chyba jesteśmy u celu. U podnóża wzgórką, na którym stoimy, ciemniejsza plama zagrożonej we śnie wioski. To Łopata<sup>2</sup>.

– Pójdziecie obaj – mówi szeptem dowódca – i zbadacie najpierw, czy nie przyjechało ich więcej! – dodaje „Chudy”.

A było to bardzo prawdopodobne. Wszak fala wycofujących się zza Wisły Niemców, Ukraińców, Kozaków, Kałmuków i diabli wiedzą jakich jeszcze nacji, wzbierała nieustannie. W ostatnich dniach coraz trudniej oddziały nasze mogły znaleźć na kwatery wolną od nieprzyjaciela miejscowość.

Potem ty bracie wrócisz z meldunkiem – ciągle dalej „Chudy”, a ty zostaniesz i postarasz się unieszkodliwić wartownika. Jest ich tylko dwóch. Stoją na jednym i drugim końcu wsi. Jeśli nie zaszły zmiany. Broni użyć tylko w ostateczności, dla własnej obrony. Pośpieszyć się, żeby świat nas tu nie złapał. Odmaszerować! Reszta – siad!

Obydwaj wysłani rozplynęli się bezszelestnie w gęstym mroku, jak duchy. Siedząc na ziemi, nasłuchujemy uważnie, czy nie dochodzą jakieś odgłosy od strony wioski. Kompletna cisza. Nawet psy jakby przepadły. Oczekiwanie przeciąga się denerwująco. Dochodzi północ. Zdajemy sobie sprawę, że nie można za długo zwlekać. Akcja powinna koniecznie zakończyć się przed brzaskiem. Wpatrzeni w ciemność, na próżno usiłujemy przeniknąć wzrokiem gęstą oponę nocy. (Nagle – lekki szelest kroków i rosnąca sylwetka zbliżającej się postaci. Nareszcie! Skupieni wokół przybyłego przewodnika słyszymy jego podniecony szept:

– We wsi jest teraz ze czterysta Niemców. Zajechali wiecorem wozami i samochodami. Wartownika nie możemy nigdzie znaleźć!

– No tak. Tego się można było właściwie spodziewać – pomyślałem.

– Nie ma co! Wstyd wracać do swoich z niczym, ale to trudno. Trzeba być szaleńcem, żeby w tej sytuacji liczyć na sukces i uniknąć strat.

– To nic! – przerwał „Chudy” tok moich myśli. – Wybierzemy trzy gospodarstwa z Niemcami, bardziej oddalone od innych, i do roboty, bo już późno!

– Jasny gwint! Chyba zwariował! – przeleciało mi przez głowę. Przez moment stanęła mi przed oczami postać Janusza Kaweckiego (ps. „Wyrwa”) i jego bohaterska, ale niepotrzebna śmierć już w pierwszym dniu naszej kampanii<sup>3</sup>. Zaraz jednak przesłonił ją obraz licznych towarzyszy akcji pozostałych w Pielaszowie, z których wielu nie posiadało żadnej broni. My mieliśmy dla nich tę broń zdobyć. I powinniśmy! Oni na nas liczą!

Zachowując maksymalną ostrożność, poczęliśmy schodzić ku wiosce. Pierwsze zabudowania mamy już poza sobą. Posuwamy się środkiem drogi. Co kilkanaście kroków przystajemy i nasłuchujemy, wstrzymując przyspieszony z emocji oddech. Policzki palą, krew pulsuje w skroniach.

– Nasza sytuacja staje się ogromnie ryzykowna – rozważam. – Prosta logika wskazuje, że na paruset Niemców przebywających w wiosce, zawsze pewna ich liczba albo czujniej śpi (za przyczyną wszechobecných wśród niedomitych żołnierzy frontowych, nieodłącznych wszy, lub z obawy przed groźnymi „bandytami”, o którym działalności na pewno ich uprzedzono) albo w ogóle nie śpi, załatwiając w tym czasie, dajmy na to, potrzeby fizjologiczne, nie wspominając chociażby o czuwających wartownikach. Wystarczy jeden taki, żeby zaalarmować wszystkich, a wtedy będziemy się mieli z pyszna. A jeżeli okaże się, że mają rakiety, to wtedy i ciemności niewiele nam pomogą. No i co

<sup>2</sup> Duża wieś przy szosie Opatów – Ożarów.

<sup>3</sup> We wsi Wysiadłów k/Sandomierza, 24 lipca 1944 r.

jest z tym poszukiwanym wartownikiem? Może się przyczaił i puści z bliska serię z „rozpylacza”?

Pomimo ostrożnego skradania się, psy nie dały się zwieść panującej, zdawałoby się idealnej ciszy. Musiały posłyszeć jakieś podejrzanego odgłosy albo wyczuć wyostrozonym psim węchem, bo najpierw jeden, a za nim kilka następnych poczęło na raz przeciągle poszczekiwać. Był to rodzaj ujadania, przechodzący w krótkie wycie, beznamietny, charakterystyczny dla sytuacji, kiedy pies zwietrzył już coś niepokojącego, ale nie nabrał jeszcze pewności, czy go instynkt i zmysł nie mylą. Teraz wystarczy łada głośniejsze zachowanie się, by rozpętała się burza wściekłych ujadów.

Mimowolnie przyspieszamy kroku. Nagle zza mijanego płotu dochodzi do nas przyciszony głos:

– Halo! Halo!

To drugi z wysłanych do wioski wywiadowców, a zarazem „tłumacz” (Marian Kiliński ps. „Zew”).

– Co jest z wartownikiem? – warknął ze złością dowódca, zbliżywszy się do sztachet opłotowania.

– Nigdzie go, cholera, nie ma! – pada odpowiedź.

– To dołącz do nas! Idziemy! – syknął „Chudy”.

Dalsze kilkadziesiąt metrów pokonujemy biegiem. „Chudy zatrzymuje nas przy domostwie stojącym z lewej strony drogi. Z przeciwnej strony nie ma żadnych zabudowań. Dalej, z lewej – przerwa pomiędzy zabudowaniami, potem w odległości może 50 metrów, następne gospodarstwo.

– Tę z lewej biorę ja – oznajmił dowódca, wskazując na bramę dzielącą go od podwórza. – Dla was – rzekł, zwracając się do „Jędrusia” – to następna chałupa, a wy – wskazał na mnie – bierzcie tę dalej od drogi, na prawo. Po robocie zbiórka przed wsią. A teraz – jazda!

W tej samej chwili ludzie „Chudego” już otwierają skrzypiące, jak na złość, wrota „swojego” gospodarstwa. To dało mi asumpt do pośpiechu.

– Prowadź – rozkazałem mojemu przewodnikowi, który wyraźnie zdradzał ochotę do pozostawienia nas teraz samych. Widać uważał, że jego rola się skończyła. Z zasadniczych względów nie mogłem się na to zgodzić.

– Jo muse iść do dumu, bo jak Niemcy nie znajdą mnie w chałupie, to ...

– Pójdiesz dopiero, jak pokażesz nam gdzie Niemcy śpią. W stodole, czy w chałupie! – powtórzyłem stanowczo głosem.

Podbiegamy razem co tchu do odległych o około 50 metrów zabudowań z prawej strony drogi. Od podwórka odgradza nas lity, wysoki ponad głowę płot z desek. Wskakując na niego nie dałoby się uniknąć głośnych uderzeń butami lub kolanami. Trzeba koniecznie odnaleźć furtkę. Jest! Przewodnik pomanipulował chwilę przy zamku i furtka ustąpiła. Wślizgujemy się pojedynczo na niewielkie podwórko, nie ogrodzone od strony pola. Tym lepiej dla nas. Chwila nasłuchiwanie. Względna cisza.

– Gdzie śpią? – pytam przewodnika.

– W stodole – odparł niepewnym głosem.

– Dobra! Jesteś wolny!

Teraz szybko ustalam plan działania i podejmuję decyzję:

– Jeden stanie przy furtce, żeby być w ewentualnej łączności z dowódcą. Drugi – z boku, przy wrotach stodół. Jeśliby nas tam w środku wykończyli, to prac do wybierających szkopów! Reszta wchodzi za mną!



Trzymając w prawym ręku stena z palcem na spuście, w lewej dłoni latarkę elektryczną, próbuje ostrożnie otworzyć wrota stodoły. Jednocześnie rozważam w pośpiechu:

– Jeżeli śpią na klepisku, to sprawa jest prosta. Jeżeli leżą po obu stronach klepiska, w sásiekach – sprawa się nieco komplikuje. Jeśli zaś – gdzieś na górze, to już jest całkiem kiepsko. Mogą rąbnąć granatem, zanim zdążymy przedłożyć im nasze „życzenia”. Nie zaszkodzi świecić latarką na koniec lufy. Gdy zobaczą taki argument, może nie zechcą sięgać po broń.

No, wrota otwarte! Nawet bez hałasu. Błysk światła wzdłuż klepiska – pusto! Lewy sásiek – pusty! Po prawej – połowa sásieku pusta, druga połowa wypełniona sianem. O siano oparta krótka, rachityczna drabinka. Nasłuchujemy... żadnego szmeru. Włazę pierwszy na drabinę.

Ta chwileje się, skrzypiąc ostrzegawczo. Psiakrew! Spadnę i popsuję całą zabawę! Gramolę się jednak uparcie dalej, stopniowo wychylając głowę ponad warstwę siana. Jestem gotów każdej chwili pociągnąć za spust stena.

W blasku latarki dostrzegam najpierw jakieś poziome żerdzie z wiszącymi na nich szmatami, czy onucami. Jestem już na wierzchu. Pośrodku, w sianie, wyraźne zagłębienie. Oho, coś jest! Zbliżam się do tego zagłębienia, Mdły zapach potu utrzymujący się nad legowiskiem upewnia mnie o obecności ludzi.

Tak, są! Spod wspólnego nakrycia wystają czubki trzech głów. Rozglądam się wokół za bronią. Ostrożni – pewnie mają ją przy sobie! Nachylam się ponad głowami i kierując strumień światła poprzez koniec lufy stena prosto w oczy śpiących, wyrzucam szybko półgłosem:

– Aufstehen! Hände hoch! Waffe abgeben!<sup>4</sup>

-----

– Co do diabła? Śpią jak zabici!

Ściągam ich całkiem z głów nakrycie i schyliwszy się jeszcze bardziej powtarzam głośniejsze samo. Pierwszy z leżących otworzył nieprzytomne, zaspane oczy i mrużąc je, uniósł się gwałtownie na łokciach.

– Co jest? – zapytał wystraszoną głosem... w najczystszy, polski język...

W pierwszej chwili, gdy zrozumiałem co zaszło, o mało mnie szlag nie trafił ze złości. Co za pech!

– Gdzie są Niemcy? – zapytałem ni w pięć ni w dziewięć, nie mogąc jeszcze ochłonąć z wrażenia i uwierzyć, że tu ich właśnie nie ma.

– Nimcy? Ady pełno ich we wsi. Tu ich ni ma, tylko jo śpie z kolegamy, bo u nich śpiom, te, co wiecorem psyjechały – odparł już spokojniej zapytany.

– Z powrotem! – zawołałem półgłosem do swoich ludzi.

Wypadliśmy na podwórko.

– Co teraz robić? – zastanawiam się zirytowany. – Wybrać się na własną rękę do któregośkolwiek następnego, lecz nie rozpoznanego gospodarstwa, czy dołączyć się do pozostałych kolegów? Może im się lepiej powiodło? Może im się przydamy?

Pierwszy wariant wydał mi się zbyt ryzykowny. Nie wiemy przecież nic o rozlokowaniu nieprzyjaciela w żadnym innym obiekcie, a i na informacjach miejscowych ludzi – jak się okazało - nie może w pełni polegać. Hałaśliwe zachowanie pierwszej naszej grupy mogło wzmocnić czujność śpiących Niemców i zwrócić uwagę wartownika. Decyduję się dołączyć do grupy „Chudego”, operującej najbliżej nas.

---

<sup>4</sup> Wstawać! Ręce do góry! Oddać broń!

Pędzimy w kierunku słabo przyciemnionego okna w chałupie dowódcy. A więc nasi są już w środku!

Wpadamy na podwórze przez otwartą na oścież bramę. W ciemności rozróżniamy sylwetki niemieckich wozów konnych i samochodu. Wokół pojazdów kręcą się chłopcy z grupy „Chudego”. Mają już po parę „Panzerfaustów”<sup>5</sup>, karabinów i innego sprzętu bojowego. Nie mogą się ze wszystkimi zabrać. Przyszliśmy więc w samą porę. Szybko wymieniam informacje. Niemcy są w chałupie. Tam też jest nasz dowódca.

Wbiegam więc do chałupy, pozostawiając moich podkomendnych do pomocy tym na podwórku. W oświetlonej, przestrzennej izbie, przy rozbebeszonych wyrkach stoi dwóch „Niemiaszków”. Kuse koszule, zmięte gacie, twarze wylękłe, pokorne. Naprzeciw nich – nasz dowódca z tłumaczem. Obaj już zdążyli zaopatrzyć się w trofea: karabiny, maski gazowe, wypchane plecaki. Spoglądam pożądliwie na olbrzymi plecak z przytroczoną menażką – łup dowódcy.

– Cała wieś jest otoczona Wojskiem Polskim – wygłasza spokojnym głosem tłumacz, przekładając na niemiecki słowa „Chudego”.

– Przez dziesięć minut po naszym odejściu nie wolno się ruszać z miejsca, ani alarmować – dodaje tłumacz.

– Ach, nein! Jawohl! Scheissen auf den Krieg! Hitler kaputt!<sup>6</sup> – podchwycił skwapliwie jeden z Niemców o zarośniętej twarzy i dziwnie semickich (?) rysach, które wbiły mi się w pamięć, przyjawszy jeszcze bardziej służalczą postawę.

Z prawdziwą satysfakcją uczestniczę w tej scenie. Po tylu latach niewoli i upokorzeń, nareszcie role się zmieniają. Nie mogę opanować chęci włączenia się do rozmowy, w miarę swych – raczej skromnych – możliwości językowych:

– No, ja – wtącam – der Sieg gehört uns!<sup>7</sup>

– Scheissen auf den Krieg – powtórzył mój rozmówca, wymijająco.

Zagadywany przeze mnie Niemiec poprosił o pozostawienie mu brzytwy i paska od spodni, które to przedmioty były rzekomo w zabranym przez nas plecaku. Odpowiedziałem odmownie, wyjaśniając, że nam się te przedmioty także przydadzą, co Niemcy przyjęli z właściwym dla „dżentelmenów” zrozumieniem i akceptacją.

W miarę rozmowy, Niemcy stawali się jakby swobodniejsi, głos ich nabierał pewności siebie, z nutką mentorstwa. Szybko pojęli, że nic im nie grozi z naszej strony i usiłowali chytrze przedłużyć dialog.

Koniec, wychodzimy stąd! Prędko! – zdecydował „Chudy” – Za długo z nimi gadamy!

Pochwyciłem na odchodnym karabin i maskę gazową, które to przedmioty jakimś cudem jeszcze dla mnie w izbie zostały, i znalazłem się przed bramą wśród kolegów obładowanych łupami.

– Tragedia, my się z tym wszystkim nie zabierzemy – oświadczył dowódca, usiłując z trudem zarzucić sobie na ramię olbrzymi plecak.

– Daj pan, ja go poniosę – zaofiarowałem się skwapliwie, licząc po cichu na wdzięczność „Chudego” w formie odstąpienia mi zdobytej z plecakiem menażki. Przy moim wilczym apetycie brak tego naczynia odczuwałem dotkliwie.

– Bierzcie! – zgodził się dowódca.

Właśnie próbowałem objuczyć się dodatkowo wielkim plecakiem, gdy naraz, z głębi wsi, z odległości może trzydziestu kroków, od strony gospodarstwa, w którym opero-

<sup>5</sup> Pancerzownica, tzw. „pięść pancerna”.

<sup>6</sup> Ach, nie! Tak jest! Nasrać na wojnę! Hitler przegrał!

<sup>7</sup> No, tak, zwycięstwo należy do nas!

wali „Jędrusie”, zagrała seria wymieciona z pistoletu maszynowego skierowana w naszym kierunku, znacząc drogę świetlnymi pociskami, tuż nad naszymi głowami.

W naszych chłopców jakby piorun strzelił. Momentalnie rozpięchli się w ciemności. Przewracając się przez osuwający się mi pod nogi plecak, dosłyszałem tylko milknący w dali tupot nóg. Na próżno szamotałem się jeszcze przez chwilę z troczkami męnażki. W końcu dałem za wygraną. Poderwałem się, już bez plecaka, i wpadłem w łan nieskoszonego zboża, podążając za zbiegłą grupą. We wsi rozszalała się strzelanina. Na szczęście dla nas, nie użyto rakiet. Spokojnie więc zatrzymałem się na wzgórzu za wsią, na którym natknąłem się na paru naszych chłopców, wśród nich i na „mojego” pechowego przewodnika.

Aby zasygnalizować swoją tu obecność rozbiegniętej gdzieś grupie „Jędrusia”, spróbowałem oddać krótką serię z mojego stena. Niestety, usłyszałem tylko suchy trzask zamka. Zacięcie albo niewypał! Drugi raz – to samo! Przeszły mnie ciarki po plecach na myśl, czym się mogło dla mnie skończyć stanięcie oko w oko z uzbrojonym przeciwnikiem, gotowym do walki. Wyrwałem zza pasa hiszpańską „Llamę” i oddałem w górę kilka strzałów. Oczekaliśmy jeszcze trochę i nie widząc rezultatu naszej sygnalizacji, skierowaliśmy się do „bazy”.

Kluczemy teraz po polach, starając się utrzymać ogólny kierunek marszu na południe. Wreszcie trafiamy do Pielaszewa. Zatrzymują nas partyzanckie posterunki:

- Hasło?!
- Warszawa!
- Odzew?!
- Victoria!

Podbiega do nas „Bruno”, poważnie zaniepokojony dosłyszana z dala strzelaniną. Rzuciwszy się każdemu z osobna na szyję i obcałowawszy w oba policzki, zapytał:

– No, jak tam? Załatwione? Są straty? Gdzie reszta? Co zdobyliście? Baliśmy się o was, bo tak długo nie wracaliście!

Jeden przez drugiego opowiadamy chaotycznie zaszłe wydarzenia. Niebawem, po dwóch, po trzech, zaczęli napływać maruderzy. Do rana nie zjawił się tylko Marian Kiliński „Zew”, co napawało nas niepokojem o jego losy.

Obfite łupy w postaci różnego rodzaju wyposażenia wojskowego, z przewagą pierwszy raz z bliska oglądanych „pięści pancernych”, przesłoniły na razie obawy związane ze wzrastającym zagrożeniem batalionu. Niczym Zagłoba sztandary, rzucaliśmy kolejno w siano stodółki nasze trofea.

Dopiero około południa następnego dnia dobił do nas ostatni z biorących udział w wyprawie – Marian Kiliński. Miał on oryginalną przygodę. Przedostając się ze zdobycznym „Panzerfaustem” przez płot, zawisł na nim, zahaczywszy się o sztachtetę, która wsunęła mu się z tyłu pod pas. Nie mógł odpiąć pasa, bo ten był mocno naciągnięty. Tak długo szamotał się po płocie, aż złamał sztachtetę. Wracając samotnie do Pielaszewa, zatrzymał się na noc u znajomego gospodarza, gdzie wyspał się w prawdziwym łóżku.

W tym też dniu, opierając się na ogólnych wskazówkach dotyczących posługiwania się „Panzerfaustem”, zacerpniętych przypadkowo z pozostawionego przez kwaterujących w maju 1944 roku w moim dwikoskim pokoiku dwóch szeregowych wehrmachtowców, niemieckiego czasopisma „Der Adler”, przystąpiłem ochotniczo – nie bez tremy – do instruktażu. Za naszą stodołą zgromadzili się przy mnie uformowani w dwa boczne szeregi, chłopcy z mojego plutonu. Obok, starsza już kobieta, spokojnie zrywała liście tytoniu. Ostrożnie wyjąłem z rury pocisk i ułożyłem go opodal na ziemi. Wiedzia-

łem z niemieckiej instrukcji, o dochodzącym do 3 metrów długości słupie ognia, wydobywającym się do tyłu z rury przy odpaleniu ładunku miotającego. Przezornie więc oparłem koniec rury na ramieniu, zaś drugi jej koniec wymierzyłem w niebo i uniosłem ramkę celownika. Pod nim powinien znajdować się spust. Ba, ale który to z wystających kilku „guziczków”? Może to ten?

– Trrrach!!!

Odpalenie nastąpiło niespodziewanie. Nawet nie zdążyłem otworzyć ust. Huk detonującego ładunku (średnica ok. 75 mm, tyleż jego długość – ładna porcja, jak dla armaty!) ogłuszył mnie do tego stopnia, że przez dłuższy czas nic nie słyszałem. Czułem przy tym ostry ból w uszach. Kobieta padła plackiem na ziemię. Chłopcy też. Skończyło się jednak na strachu, ale od tej pory wiedzieliśmy już, jak się obchodzić z tą bronią.

Tak zakończyła się nasza łopatowska eskapada i jej bezpośrednie następstwa. Nie wiedziałem wówczas, że za kilka dni zetknę się z „moim” rozbieranym Niemcem z Łopaty i znów będę z nim rozmawiał, ale już w całkiem innych okolicznościach. Umknąłem mu w porę, zanim mnie rozpoznał. Było to już po rozbiciu batalionu w Wesołównce...

### **Fragment fazy ostatniej – Pielaszów i Wesołówna**

29 lipca – duża emocja! Po południu tego dnia nasze ubezpieczenie – mimo stanu najwyższego zagrożenia ze strony nieprzyjaciela zajmującego już prawie wszystkie okoliczne wioski – za zgodą dowódcy batalionu, por. „Swojaka” – zaatakowało jadący za rzeczką Opatówką niemiecki samochód wojskowy z dwoma oficerami i kierowcą. Wraz z innymi kolegami strzelałem i ja z mojego zawodnego stena, a z bardziej skutecznego na odległość ok. 200 m PIATA – Witold Muszyński z Dwikóz. Z samochodu i pasażerów – sito! Eskortujący samochód patrol konny uszedł cało.

Zdobyto dwa pm-y, dwa pistolety, lornetkę o torbę z dokumentami. Akcja ta zadecydowała niechybnie o całkowitej dekonspiracji batalionu. Na rozkaz por. „Swojaka” mającego świadomość, że jesteśmy otoczeni, nastąpiła niebawem likwidacja taborów i – przed świtem 30 lipca – wymarsz całego zgrupowania w kierunku Opatowa, z zamiarem przedostania się przez szosę opatowska, do lasów w rejonie Klimontowa. Początkowy plan opanowania Sandomierza został przez dowództwo Obwodu ostatecznie zarzucony.

Zatrzymujemy się na krótki odpoczynek w pierwszych zabudowaniach leżącej nad Opatówką wioski Wesołówna. Zasypiam na słomie, obok naszych łączniczek, Aliny Lipowskiej („Belli”) i Hanki Nasławskiej. Nie na długo. Budzą mnie odgłosy wystrzałów dochodzące ze wzgórza od strony Pielaszowa. Strzela na alarm nasz wartownik, Kuśmerek. Zrywamy się wszyscy i wybiegamy ze stodoły. Ze wzgórza zbiega Kuśmerek z okrzykiem: „Niemcy!” Robi się wielkie zamieszanie. Z tegoż kierunku dochodzą teraz odgłosy serii z karabinów maszynowych. Rzucam się wraz z liczną grupą kolegów do biegu przez mostek, za rzeczkę. Rozglądam się za swoim dowódcą. Słyszę rozkaz (chyba „Swojaka”): „Wycofać się! Najpierw ci bez broni i z bronią krótką, ci z bronią długą – osłaniać odwrót!” Biegnę obok dowódcy kompanii, Wacława Bochniaka („Martyniaka”)<sup>8</sup>, próbując ostrzeliwać się z mojego stena. Ze wzgórza prują już teraz seriami.

– Mają karabiny maszynowe! Będzie jatka! – pada z ust „Martyniaka”.

---

<sup>8</sup> Wacław Bochniak, zapalony piłkarz, nazywany był przez kolegów szkolnych w Sieradzu – Martyniakiem, gdyż miał talent piłkarski podobny do talentu znanego przed wojną zawodnika o tym samym nazwisku – J. H.

Biegnę dalej w rozproszonej grupie wzdłuż wijącej się Opatówki, przekraczając ją dwukrotnie dla lepszej osłony. Namoknięte buty z cholewami ciążą mi niemiłosiernie. Dystans od „czołówki” zwiększa się. Aby nie pozostać zanadto w tyle za resztą oddziału, decyduję się desperacko na wybiegnięcie na odsłonięty, wznoszący się teren obsiany zbożem. Teraz biegnę samotnie. Słyszę głuche pacnięcia pocisków padających wokół mnie. Opadam z sił. Coraz częściej padam na kolana ze zmęczenia i próbuję doczołgać się do zbawczego szczytu wzniesienia, za którym można by nieco wytchnąć. Ostatnim wysiłkiem podrywam się jednak, żeby nie zostać tu na zawsze...

Za wzniesieniem, w lewo na skos, zagajnik. Tam są na pewno moi współtowarzysze. Na wpół schylony przemkam za wysokimi krzewami żarnowca. W lasku – nasze sanitariuszki. Odsapnąwszy nieco, chcę pomóc jednej z nich nieść olbrzymią torbę ze sprzętem. Zachnęła się, choć widzę, że siania się na nogach ze zmęczenia. Teraz – byle do szosy opatowskiej, skąd dochodzi niepokojący, ciągły odgłos poruszających się po niej pojazdów wroga.

Wybiegamy z zagajnika na wąską polanę. Z naprzeciwka zostajemy ostrzelani z broni maszynowej. Jęki rannych. Padając i zrywając się na przemian, biegnę w prawo, równoległe do przebiegającej w pobliżu szosy. Z tyłu prują nadal z maszynówek. Szczęśliwie dopadam do stogu siana, za którym posuwam się już bezpieczniej, w jego „cieniu”. Chwytam napotkaną po drodze porzuconą skrzynkę z taśmą amunicyjną. Może się jeszcze przyda.

Wkrótce się jej pozbywam. Wbiegam pomiędzy rozproszone zabudowania wioski Gołębiów. Widzę Zbigniewa Racińskiego („Salwę”), Jerzego Nasławskiego („Jeża”), a z nimi gestykulującego por. „Swojaka”. Dołączam się.

– Chować dokumenty, chować broń, kryć się gdzie kto może! – pada rozkaz oficera, który zdejmuje szybko wojskowy płaszcz i pozostaje w cywilnej marynarce.

– Jak to, nie będziemy się bić do ostatka?! – wyrывa mi się z rozgoryczeniem desperackie pytanie.

Odpowiedzi brak. Za chwilę zostaję sam. Oblawa coraz bliżej. Jeśli mam przetrwać, muszę działać błyskawicznie. Budzi się we mnie nieugięta wola przeżycia. Znajduję się obok cembrowanej, głębokiej studni. Instynktownie szukam „oryginalnego” schowka. Może więc opuścić się na łańcuchu kołowrotu i przeczekać w głębi studni? Szybko jednak porzucam ten wręcz samobójczy pomysł. Po daszku przybudówki gramolę się na strzechę pobliskiej obory. Zastanawiam się przez moment, czy nie ukryć się w listowiu rosnącego przy oborze drzewa. Świst kul przywraca mi świadomość, że mogę zostać trafiony jakąś zabłąkaną kulą. Głupia śmierć. Zeskakuję więc na podwórko, wprost na kupę spelzłego od słońca gnoju. Widzę kilku naszych żołnierzy wbiegających do stodoły.

I nagle przebłysk myśli: zakopię się w gnoju!! Wyrzucam przez dach stodoły nieprzydatnego już stena<sup>9</sup>, układam się na skraju kupy gnoju i nakładam gorączkowo na siebie, poczynając od stóp, ociekające gnojówką kęsy obornika. Już prawie jestem zakryty, lecz sięgając po nowe porcje, zrzucam z siebie już nałożone. Rozpaczliwie rozglądam się wokół. Niemcy coraz bliżej. Słyszać wyraźnie ich gardłowe wrzaski...

Nagle w oknie gospodarskiego domu dostrzegam twarze dwóch wystraszonych dziewczyn.

– Proszę, przykryjcie mnie! Sam nie dam rady! – wołam z nadzieją na pomoc.

Powstrzymywana przez młodszą, wyskakuje przez okno starsza z siostr<sup>10</sup> i narzuca na mnie wielkie pacyny gnoju.

<sup>9</sup> Pozostawiam sobie jedynie dwa pełne magazynki od niego.

<sup>10</sup> Zofia Frańczak.

W tym momencie wbiega na podwórze dwóch partyzantów. Jednym z nich jest dopiero co stracony z oczu mój podkomendny, Zbigniew Raciński<sup>11</sup>.

– Janusz, czy ja też mogę? – pada z jego ust lojalne w tej sytuacji pytanie.

Nie mam prawa odmówić. To jedyna dla nas szansa uratowania życia, choć zdaję sobie sprawę, że możliwość odkrycia nas przez Niemców niepomrotnie wzrasta. Jestem już cały pokryty. Teraz pracują już przy nakrywaniu przybyłych, obie panny.

– Pana, to Matka Boska na pewno ocali – nic pana nie znać – dochodzi do mnie głos mojej wybawczyni.

Strzały i wrzaski – już tuż, tuż. Zaczynam się dusić, ale odkryć się, to zguba! Podciągam do twarzy rękę wyciągniętą wzdłuż tułowia i robię sobie małą wolną od gnoju przestrzeń przed ustami. Nie pomaga! Na dobitkę, w tej „komorze” zaczynają fruwać roje małych muszek gnojowych, które wpadają mi do gardła. Krztuszę się, by powstrzymać kaszel. Matko Boska, ratuj! Nie daj mi się udusić! Z determinacją rozgarzaniem żdźbła słomy przemieszane z krowim łajnem. Widzę teraz zarys wejścia do chlewika. Powoli odczuwam ulgę, także psychiczną. Nie przestaję się modlić w duchu do Najświętszej Pani. Czuję, jak zaczyna spływać na mnie z wolna kojący spokój, jak bym się znalazł za jakąś bezpieczną kotarą i jak bym uczestniczył w jakimś nie groźnym dla mnie spektaklu, tragicznym, ale rozgrywającym się w innym wymiarze...

Tupot podkutych butów. Ryki Niemców wyciągających ze stodoły pierwszych pojmanych. Odgłosy uderzeń i jęki bitych. Häne hoch!! – wrzeszczą.

– Ich bin polnischer Offizier – rozpoznaję głos ppor. „Brunona“. Hier habe ich Pistole – dodaje „Bruno“, wskazując zapewne na kaburę.

– Häne hoch!! – ryczy Niemiec. Du bist Bandit! Słysząc razy...

Wreszcie wszystkie odgłosy oddalają się i cichną.

Leżymy tak już kilka godzin. Wokoło niemal martwa cisza. Tylko krowy porykują, nienapojone. Żar lipcowego słońca przenika przez warstwę mierzwy, pragnienie nie do zniesienia. Lewa ręka – od barku drewniana. Do ust wciska się gnojówka. Nie odzywamy się do siebie i nie poruszamy się, żeby nie zdradzić naszej kryjówki. A może tu ktoś został i pilnuje?

Wtem dobiegają do nas głosy, ni to niemieckie, ni ukraińskie. Przybyli wypuszczają z chlewu wieprzka, który próbuje ryć w gnoju. Wreszcie chwytają go w kacie podwórka i ładują kwiczącego na wóz. Napięcie mija.

Okolo piątej po południu, to jest po około 12 godzinach leżenia w gnoju, wyraźnie słyszę odgłos zbliżających się kroków. W drzwiach chlewika i obórki widzę postać starszej kobiety. Odważam się zawołać półgłosem:

– Pani gospodni, czy są Niemcy?

– Ło laboga, adyc wy jesteście? Tamtych już ni ma, ale drugie zajezdzą samochody. Uciekajcie! – odpowiada gospodni.

Wylazimy z gnoju. Trudno ustać. Świat wiruje, w oczach ciemno. Oddalamy się, zmierzając z osobna do pobliskich wiklinowych chaszczki z resztką zachowanej wody w wyschlým potoku. Jesteśmy uratowani!!!

Dziękuję Ci Najświętsza Pani, bo Twojej łasce i orędownictwu zawdzięczam, że przeżyłem te krytyczne chwile. Ty zapewne pokierowałaś moimi krokami, Zofii Frańczakówny i jej siostry, przykrywających nas gnojem. Ty podałaś mi myśl ukrycia się w tak oryginalnym miejscu i myśl staremu gospodarzowi, aby podtoczył pod pryzmę gnoju i ustawił przy niej wóz, udaremniający

---

<sup>11</sup> H. Dolhacz z Sandomierza był drugim z nich.

przebieganie Niemców po gnoju, co mogło być fatalne w skutkach. Ty podszepnęłaś gospodyni, aby posypała sera, z dala od gnoju, kurom rozgrzebującym świeżą warstwę leżącego na nas obornika ...

Cześć pamięci nieżyjących już osób pomagającym nam z narażeniem własnego życia!

Nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze, że w samym tylko Gołębiowie i okolicy Niemcy ujęli i natychmiast rozstrzelali piętnastu naszych towarzyszy broni, których ciała zostały dopiero po blisko 40 latach ekshumowane i złożone na Cmentarzu Katedralnym w Sandomierzu, wraz z innymi poległymi w lipcowym zrywie żołnierzami Armii Krajowej.

Dowódca plutonu „Dwikozy”  
Plut. pchor. rez. art. Janusz Hajnowski  
(–) ps. „Boruta”

## 2.6. Ak-owiec w Ludowym Wojsku Polskim

Przez cztery lata mojej służby w ZWZ – AK nigdy nie przewidywałem takiego jej zakończenia. Ostatni raz jawnie, jako żołnierz Armii Krajowej z opaską i bronią, wystąpiłem 6 IX 44 r., gdy wojska radzieckie po raz drugi zajmowały Wołomin. Te wojska frontowe pierwszego rzutu odnosiły się do nas względnie przychylnie, nie było żadnych spiek.

Następnego dnia sytuacja zmieniała się diametralnie, nowa władza powołała milicję, ukazały się obwieszczenia nakazujące zdawać broń. Potem zaczęły krążyć niepokojące wieści, ktoś zniknął, kogoś zabrali. O mnie też pytali, a nawet strzelali w plecy, aby mnie zatrzymać. Z każdym dniem NKWD wspólnie z UB nasilały działania, pojawił się major „Nikiforow” – „Nikifor” (obszerniej pisałem o tym w B.I. nr 3 (50) z września 2002 r.), musiałem się dobrze ukrywać i konspirować, ale jak długo?

Sprawę tę rozstrzygnął ostatni nasz dowódca – rotmistrz Kajetan Fijałkowski, ps. „Rafał”, powiedział, że zbyt dobrze nas rozpracowali, tu się nie utrzymamy, trzeba się wynosić, najlepiej do wojska. Przecież jest Ludowe Wojsko Polskie i powinni być w nim Polacy. Nie byłem zachwycony, ale zima na karku, a na zimowanie w lesie nie miałem ochoty. I znowu dopisało mi szczęście, w pierwszych dniach listopada zjawiał się w Wołominie rtm. Karol Wróblewski, przyjechał wojskowym jeepem z kierowcą, był w ułańskim mundurze z bronią. Służył w formującej się w Zamościu dywizji kawalerii. Na Pradze załatwiał jakieś służbowe sprawy, a w Wołominie nocował u żony.

Postanowiłem wstąpić do Ludowego Wojska Polskiego, bo przekonali mnie argumenty rotmistrza „Rafała” i rtm. Karola Wróblewskiego, który już był oficerem Ludowego Wojska Polskiego, że tam powinno być jak najwięcej prawdziwych Polaków z bronią.

Gdy tylko rtm. Wróblewski dowiedział się o mojej sprawie, powiedział, że za dwa – trzy dni będzie wracał do Zamościa, żebym był gotowy, że zabierze mnie wcześniej rano. Tak też się stało, było jeszcze zupełnie ciemno, gdy obok domu przystanął samochód, wskoczyłem do niego, narzuciłem na siebie wojskową pelerynę i już nas nie było – zegnaj, Wołominie.

Po drodze zabraliśmy jeszcze jednego znajomka. Jechaliśmy przez Lublin, wieczorem byliśmy w Chełmie. Podjechaliśmy pod RKU, rtm. Wróblewski wszedł z nami do środka, było zupełnie pusto, tylko starszy sierżant pełnił służbę. Rotmistrz powiedział,

że przywiózł dwóch ochotników do podchorążówki, tak, jak uzgodniliśmy w czasie jazdy.

Sierżant spisał nasze personalia, przy wykształceniu, gdy powiedzieliśmy: mała matura, stwierdził, iż z oficerską szkołą nie będzie problemu, tylko jaka – lotnictwo, artyleria, broń pancerna, jako ochotnicy możemy wybierać.

Lotnictwo odpadło od razu, szkoła była w Rosji i szkolenie długie. Ja między artylerią a bronią pancerną nie miałem co wybierać. Po tym jak mi parę miesięcy temu grenadierzy z dywizji SS „Tetenkopf” dali w ..., jak musiałem forsownym marszem zapychać po kilkadziesiąt kilometrów dziennie na własnych nogach, a oni sobie wygodnie jeździli – o nie, tylko w czołgu będę mógł się na nich odgryźć i będę jeździł – piechota już nie dla mnie.

Obaj z kolegą zdecydowaliśmy się na broń pancerną. Rotmistrz pożegnał się i pojechał do Zamościa, a sierżant dał nam żołnierskiej kawy i kazał spać w sąsiednim pokoju, rano przekaże nas komisji lekarskiej. Przespaliliśmy się dobrze, chociaż deski podłogi nie były zbyt miękkie. Lekarz na komisji załatwił nas błyskawicznie, kazał zdjąć koszulę i spodnie opuścić, pukał palcem w klatkę piersiową, zapytał: zdrow? – tak jest, zdrow, spojrzał w dół, czy na pewno jesteśmy chłopcy i wydał rozkaz: odmaszerować.

Reszta formalności została też załatwiona równie szybko, poprzez dowództwo I Korpusu Pancernego zostaliśmy przekazani do Oficerskiej Szkoły Broni Pancernej w Chełmie Lubelskim. Mieściła się ona w starych jeszcze carskich koszarach, położonych na skraju miasta. Same koszary były to duże, piętrowe budynki z czerwonej cegły, otaczające obszerny plac apelowy.

W szkole dostałem przydział: V artdywizjon, 2 bateria, 1 pluton, jak się później okazało – byłem z tego zadowolony. Zameldowałem się w swojej baterii, zobaczyłem kolegów i miejsce zakwaterowania, to jest olbrzymią salą rozciągniętą w poprzek przez cały budynek. Była zupełnie pusta, tylko goła podłoga z nawianymi smugami śniegu przez wybite szyby w oknach i zimny piec w kącie. Pomieścić się w niej mogła bez trudu setka chłopów.

Przyszedł szef baterii, zrobił zbiórkę i powiedział: „Mundurów nie dostaniecie, bo nie ma, na razie będziecie chodzić we własnych ubraniach. Łóżek i pościeli nie dostaniecie, bo nie ma, musicie spać na podłodze”. Połowa chłopaków zbaraniała, a druga zaczęła się śmiać, ja też parsknąłem śmiechem, to przecież ucieszny początek naszej żołnierskiej służby. Spytałem: szefie, a co z żarciem? – będzie, zaraz będzie, odpowiedział i dał komendę „w prawo zwrot” i zaprowadził nas do kuchni w suterenie budynku. Tam w podręcznym magazynku każdy wyfasował „ruski kaciółek”, czyli menażkę i łyżkę, podstawę żołnierskiego życia. Następnie od kucharza dostaliśmy dużą chochlę jęczmiennej kaszy, była wodnista i zupełnie jałowa bez żadnej okraszy. Wtedy nie wiedzieliśmy, że będziemy ją jedli trzy razy dziennie, i to ponad miesiąc.

Na razie szef zabrał nas na górę, pogonił do mycia menażek i znowu zrobił zbiórkę. Przyszedł d-ca baterii oraz d-cy plutonów i politruki, zaczęło się upolitycznianie i wyjaśnianie, że wojna, że front, że nam też się poprawi, że sformowane bataliony czołgów już dostają mundury i broń. To była prawda, ale te pierwsze tygodnie były faktycznie ciężkie, a dla pieszczołów i maminsynków bardzo ciężkie. Spaliśmy na gołej podłodze w ubraniach, nie było nic do przykrycia, nawet butów nie można było zdjąć, bo nogi marzły. Dziury w oknach pozatykaliśmy, ale opału do pieców nie było, tylko my leżąc gęsto obok siebie w dużej masie tyle nachuchali, iż nikt nie zamarzl.

Sprawa opału została rozwiązana w najprostszy sposób, któregoś ranka, bardzo wcześnie, wygoniono paruset chłopów i poprowadzono do lasu. Była zima, leżał śnieg,



marsz trwał około godziny, las był dębowy. Tam podzielono nas na robocze trójki, dano siekiry i dużą piłę, i do roboty – byłem drwalem. Wieczorem każdy przytargał do koszar dwie grube, metrowe szczapy, było czym palić.

Z posiłkami było w dalszym ciągu źle, poza wspomnianą kaszą, trochę czarnego chleba, czarnej kawy i łyżka cukru dziennie.

Zajęcia zaczęły się od razu w pełnym wymiarze godzin, to znaczy od wczesnego rana do późnego wieczora byliśmy zajęci, tak jak to w wojsku bywa, przy szkoleniu kadry, i to w czasie wojny.

W naszej szkole były cztery bataliony przygotowujące przyszłych oficerów dla pułków i brygad czołgów lekkich, średnich i ciężkich oraz oficerów technicznych. W V Art-dywizjonie szkolono w poszczególnych bateriach oficerów liniowych i technicznych dla pułków artylerii pancernej. Ja w 2 baterii byłem szkolony na oficera liniowego dla artylerii pancernej średniego kalibru, a konkretnie na działo pancerne czy szturmowe, jak je wtedy nazywano, typu SU-85.

Zasadnicza różnica konstrukcyjna między czołgiem a działem pancernym polega na braku obrotowej wieży. Armata zamocowana jest bezpośrednio w płycie czołowej kadłuba. SU-85 było osadzone na podwoziu czołgu T-34, kaliber działa 85 mm.

Pomimo ciężkich warunków, zimna i nadmiar pracy, humor nam dopisywał. Było wesoło i dużo śmiechu z byle powodu. Zwłaszcza na zajęciach prowadzonych przez oficerów Rosjan, którzy nie znali języka polskiego, a my rosyjskiego, często dochodziło do różnych lapusów językowych i komicznych sytuacji.

Podstawowe szkolenie strzeleckie, zaznajamianie z bronią osobistą prowadzone przez bardzo młodych wykładowców, wywoływało na ustach niektórych kolegów ironiczne uśmieszki, widać dobrze znali te sprawy, ale się z tym nie ujawniali. Ja też choć nie tak dawno sam prowadziłem szkolenie posługiwania się tą bronią, nie ujawniałem tego. Między sobą też byliśmy ostrożni w wypowiedziach. Jeszcze dobrze nie poznaliśmy się, wiedzieliśmy o sobie zbyt mało i nadmierna gadatliwość nie była wskazana. Informacja już działała, a to było groźne.

Wzajemna nieufność ustępowała w miarę poznawania się, podejrzani i niepewni byli stale na oku. Zdeklarowanych kapusi i donosicieli było bardzo mało. Jeden kapuś został nawet postrzelony, dla postrachu, gdy stał w nocy na warcie przed sztabem szkoły. Było to już po przysiedze, gdy nasza bateria dostała broń i plutonami chodziła pełnić służbę wartowniczą.

Podstawowe szkolenie: musztrę w szykach zwartych i władanie bronią – prowadził z nami szef naszej baterii, przedwojenny podoficer zawodowy, przyzwyczajony do wojskowej dyscypliny, którą wpajał nam bezustannie. Wtedy uważałem go za cholernego „zupaka” i sukinsyna, teraz po latach myślę, że wiedział, co robi, i że mieliśmy świetnie wyszkoloną kadrę podoficerską.

W tym początkowym okresie najgorszą rzeczą, jaka się nam przydarzyła, była wszawica. Spaliśmy, jak wspomniałem, pokotem na gołej podłodze, blisko siebie w ubraniach, których nie zdejmowaliśmy przez kilka dni. Skąd wszy się pojawiły, trudno powiedzieć. Lęły się bardzo szybko i w niezwykłych ilościach. Mieli je wszyscy. Jak wynika z treści mojego listu zachowanego przez Matkę, jeden połów wynosił 47 sztuk. Były wszędzie, najbardziej lubiły najcieplejsze zakamarki ciała, istna plaga. Człowiek cały czas się drapał, i to w niezbyt przyzwoitych miejscach.

Zrobił się duży szum, popędzili nas do łaźni, woda też była zimna, łachy zabrali do „woszobojki” – odwszalni, a my na golasa podskakiwaliśmy dla rozgrzewki. Niewiele ta „woszobojka” pomogła, ale ruszyła sprawę naszego umundurowania i zaopatrzenia.

Najpierw pojawiła się płócienna bielizna i płaszcze, część zielonych – polskich, część szarych – ruskich, ja dostałem ruski. Zaraz potem przywieźli piętrowe łóżka i sienniki, a słomę do nich za parę dni. Na mundury i buty musieliśmy jeszcze poczekać. Gdy tylko dostałem płaszcza, to sprzedawałem swoją kurtkę za 300 zł i kupowałem za nie gotowany boczek po kawałku. Z kupowaniem nie było problemu, aby tylko były pieniądze.

Niedaleko naszego koszarowego bloku, za plotem, był mały sklepik niby spożywczy, ale w którym można było coś niecoś sprzedać. W drewnianym płocie znajdowała się zakonspirowana dziura. Wieczorem, gdy się ściemniało droga była łatwa, tylko nie dać się złapać.

Boczek kupowałem po kawałku, tyle, ile na raz mogłem zjeść, bo jedzenia nie było gdzie trzymać. Bardzo nam wszystkim brakowało mięsa i tłuszczu, nawet kasza była zupełnie jałowa. Także chleba stale nam brakowało, a szkolenie było bardzo intensywne i wymagające dużego wysiłku.

Mieliśmy kolosalny apetyt, którego nie zaspokajały zbyt małe racje. Urządziłem więc z paru kolegami „napady rabunkowe” na samochód przywozący chleb z piekarni. Zostało ustalone, iż samochód przywozi chleb wieczorem, staje obok naszej kuchni, a chleb zostaje rozładowany do podręcznego magazynku. Samochód to zwykła ciężarówka skrzyniowa, w której leżał zwalony na kupę chleb przykryty brezentem.

Wieczorem, gdy tylko samochód stanął i obsługa kuchenna zaczęła kosztami znosić chleb do magazynku, wyskakiwaliśmy z ciemnych zakamarków, w których byliśmy zaczajeni, dopadliśmy samochodu, każdy łapał jeden czy dwa bochenki, tak jak się udało i w nogi. Potem obżerałem się chlebem z boczkiem do oporu, resztę starannie chowałem na strychu za krokwią dachową. Na salę tyle chleba nie mogłem przynieść, bo sprawa by się „rypla” i pewnie byłoby dużo chętnych na takie eskapady. Tylko kilka kawałków w kieszeniach zabierałem dla mniej obrotnych a bliższych kolegów.

Z powodu tego chlebowego procederu nie miałem żadnych wyrzutów sumienia, była to tylko konieczna, dodatkowa zdobycz dla utrzymania dobrej żołnierskiej kondycji. Niestety, udało się nam zrobić tylko parę skoków po chleb. Znaleźli się zbyt zachłanni naśladowcy, wpadli w zasadzkę, zostali złapani i dostali zdrowo do wiwatu, a samochód chlebowy został zabezpieczony dodatkową obstawą.

Chłopaki miały dużo swoistego humoru, dużo wszy i nieustanny apetyt, więc taki cholerny zgrywasz drapał się zawzięcie pod pachą i niespodziewanie wrzucił do czyjegós kociołka z kasza garstkę wszy albo pęczaku, co było trudne do rozpoznania. Za to dostał kociołkiem w łeb, jeśli trafił na choleryka, albo kociołek został ze wstrętem odsunięty, jeśli koleś był bardziej „obrzydliwy”. Zawsze wynikały przy tym większe lub mniejsze awanturki i było dużo śmiechu. Kasza też została zjadana, po usunięciu dla pewności górnej jej warstwy.

Dużo śmiechu było też przy naszej porannej gimnastyce. Niezależnie od pogody, nawet gdy padał deszcz lub śnieg, zaraz po pobudce, w czarną noc, bez koszul tylko w spodniach i butach, byliśmy wyganiani na plac apelowy. Tam odbywało się nasze hartowanie i zaprawa poranna. To była nie lada „atrakcja”, gdy mokry śnieg kleił się zimnymi płatkami do gołej skóry, albo mroźny wiatr dodawał nam animuszu. Chłopaki klęły na pewno nie gorzej niż przysłowiowi szewcy.

Ja taką zaprawę miałem głęboko gdzieś, nie tak dawno Niemcy dali mi zdrowo w d..., naganiałem się za wszystkie czasy. Teraz nie miałem najmniejszej ochoty na

takie numery i nie namyślając się wiele pogałem na drugą stronę placu, aby schować się na korytarzu w bloku sal wykładowych. Nie byłem w tym osamotniony, z każdym dniem przybywało mi kolegów. Sprawa została szybko ukrócona, a my musieliśmy odębnić całą gimnastykę na placu, co wpływało na nasz piekielny humor.

Nasza sytuacja mundurowo-mieszkaniowa poprawiła się znacznie. Najpierw wstawiono szyby i zaczęto przepalać w piecach. Od razu zjawili się dwóch świętych tureckich, byli zupełnie goli, wleźli na ciepły piec i tam kazali podawać sobie żarcie. Z pieca złazili tylko po to, aby nie sikać nam na głowę i po capstrzyku, gdy mogli już wejść do łóżka. Byli to dwaj koledzy, Lwowiacy, którzy sprzedali całe swoje łachy, gdy tylko się dowiedzieli, iż mają być wydawane mundury. Jak do koszar wrócili na golasa, nie wiem, pewnie w jakichś pożyczonych płaszczach. Tych dwóch cholernych zgrywusów wywołało niesłychaną hecę, ale co można było im zrobić? Zabrać i wsadzić do aresztu? Jak? – gołych. Dano im ręczniki na biodra i zagrożono sądem wojennym.

Na mundury czekaliśmy jeszcze trzy czy cztery dni, dostaliśmy drelichowe i płócienną bieliznę na zimę, aby było nam weselej. Zabrali nam cywilne swetry, ze względu na wszy, aby było nam jeszcze weselej. Fakt, klęśliśmy okropnie, ale humor nam dopisywał i przeważnie było wesoło. Ja swój sweter, na całe szczęście, zdążyłem schować na strychu. Był mi przydatny w mroźne dni i noce, zwłaszcza gdy stałem na warcie.

Sprzedalem swoje wysokie buty z cholewami i znowu miałem trochę pieniędzy na boczek i kielbasę. Za to zostałem postawiony do karnego raportu, straszono sądem wojennym i karną kompanią. Ledwo udało mi się wyjaśnić, iż to nie żaden protest, żaden sabotaż, tylko uzupełnienie racji żywnościowych w tłuszcz, dla poprawienia kondycji fizycznej, ponieważ schudłem o dwie dziurki w pasie.

Wysokie gremium w składzie d-ca i politruk baterii oraz politruk dywizjonu uznali moje tłumaczenie. Dostałem 10 dni mycia sali i ustępu poza kolejnością. Ponieważ do raportu nie mogłem stawać boso, szef baterii za karę nie wydał mi wysokich butów, które akurat fasował cały nasz Artdywizjon. Dostałem rozczłapane, z naderwaną podeszwą, piechocińskie kapcie i owijacze. Byłem wściekły i zły, mycie podłogi miałem w „nosie”, ale te cholerne owijacze to pełne dno. Prawie całą okupację chodziłem w butach z cholewami i byłem do nich przyzwyczajony. Postanowiłem ugłaskać szefa – więc rano nie poszedłem na zajęcia, tylko wziąłem się do mycia podłogi.

Robiłem to z rozmysłem na pokaz, więc myłem bardzo starannie i dokładnie. Sala była duża, spało nas w niej na piętrowych łóżkach 80 chłopów, więc mycie trwało dość długo. Przechodził szef, łypnął na mnie okiem, ale po dłuższym czasie, gdy wracał, zatrzymał się, pokiwał głową – „dobrze, bardzo dobrze” – powiedział. O to właśnie mi chodziło. Po umyciu sali mieszkalnej poszedłem myć, mówiąc naszym językiem, sracz. Tu sprawa była prostsza i szybsza, nie było drewnianej podłogi. Wystarczyło parę wiader wody chlusnąć na kucane oczka i machnąć parę razy miotłą, aby było po robocie. Robiłem przy tym dużo szumu, żeby szef mógł docenić moje zacięcie w pracy.

Rano zameldowałem się u szefa. Popatrzył zezem na mój podwiązany sznurkiem „krypeć”. „Co buty chcesz” – mruknął. „Tak jest, chciałem iść na zajęcia, a w tym – jak?” Buty dostałem, przezornie wziąłem o numer większe, aby zmieściły się dwie pary onuc. Skarpet w ogóle nie było. Buty były kirzowe, to jest podeszwa gumowa, przyszwą skórzana, a krótka, szeroka cholewa z bardzo grubego brezentu nasyczonego jakimś dziegiem. Było to coś, co mogło powstać jedynie w „Sojuzie” i chyba żadna inna armia na świecie tak „rewelacyjnych” butów nie nosiła.

Jeszcze parę słów o szefie i jego metodach szkolenia. Był zawodowym podoficerem naszej przedwojennej armii i fanatykiem porządku oraz dyscypliny wojskowej. Te za-

sady wpał nam bezwzględnie, mówiąc, że „wojsko to wojsko, a wojna to wojna i nie ma z tym nic do rzeczy”. Łóżka miały być elegancko, pod kant zasłane, sale idealnie czyste, żadnych poniewierających się rzeczy. Na noc mundury złożone w równiutkie kostki na taboretach przed łózkami, pod nimi czyste buty, stojące na baczność nosami do przodu.

Szybko nas nauczył, stosując wypróbowane wojskowe metody. Wracamy kiedyś z ćwiczeń w terenie do koszar na obiad, wchodzimy do sali, a tu na środku zwalone na kupe, sienniki, cała pościel. Szef stoi obok tej piramidy betów i mówi: „Najpierw wojsko doprowadzi salę do porządku, a potem wojsko pójdzie na obiad”. Klnąc w duchu biegiem ścielimy łóżka, porządkujemy salę, łapiemy kociołki, aby pędzić na obiad, jesteśmy głodni i mija już połowa przerwy obiadowej. A tu stop, szef zarządza zbiórkę przy łózkach, każdy przy swoim i zaczyna flegmatyczny obchód sprawdzając, czy są prawidłowo posłane. Poprawek jest sporo, czas ucieka, a szefunio sprawdza jeszcze czystość menażek. Zzianani fasujemy na obiad i po trzech łyżkach słyszymy komendę „kończyć jedzenie – zbiórka na zajęciach”.

Wesołe jest życie rekruta, a chłopaki miały pole do popisu, całe szczęście, że szef nie słyszał, jak oni go klęli.

-----  
Była jednak wojna i nasz sielski żywot został niespodziewanie przerwany. Pewnej zimowej nocy zostaliśmy postawieni na nogi gwałtownym alarmem. D-ca Artdywizjonu płk. Kaleśnik wraz ze wszystkimi oficerami biegali po salach, popędzali, wydawali pepesze, ostrą amunicję, granaty i wyganiaли nas na plac apelowy. Zrozumieliśmy, iż musiało się coś stać. Ale Niemcy? – To niemożliwe, front był daleko nad Wisłą. Po chwili po placu rozeszła się pogłoska, że któraś z kompanii podchorążych w całości z bronią poszła do lasu.

Na zbiórce wieść potwierdziło dowództwo szkoły i wyjaśniło, iż to oficerowie wyprowadzili, pod pozorem nocnych ćwiczeń, całą kompanię wraz z bronią przez tylną bramę prosto w pole i dalej do lasu – a my teraz mamy jechać na oblławę.

Po gwałtownych wystąpieniach politruków do wszystkich pododdziałów szkoły, większość podchorążych załadowano na samochody i powieziono na wielką oblławę. Nas wywieziono dość daleko na południe od Chełma w rejon Wejsławic. W terenie rozrzucono nas niewielkimi grupkami, tworząc długi łańcuch oblawy, ciągnący się na wiele kilometrów.

Wytyczne i rozkazy dostaliśmy lakoniczne: zatrzymać, rozbroić, w razie oporu strzelać, pojedynczych i małe grupy doprowadzić do punktów dowodzenia, przy większych grupach iść ich tropem, posiłki natychmiast podjadą samochodami. Jak tylko zostaliśmy sami, cicha opinia wszystkich chłopaków w naszej grupie była zgodna i jednoznaczna – do swoich nie strzelamy.

Sprawdziliśmy wyznaczony nam rejon, na szczęście nie było żadnych śladów zbiegłej kompanii. Byliśmy stale pod czujnym nadzorem naszych oficerów, co rusz przyjeżdżali i sprawdzali, czy jesteśmy i czy wszystko w porządku.

Przytrzymali nas w terenie kilka dni i nocy. Byliśmy właściwie na własnym wikcie, nocowaliśmy pod gołym niebem, ubrani tylko w drelichowe mundury i płaszcze wiatrem podszyte. Do dzisiaj pamiętam, jak strasznie dzwoniły nam zęby i jak nami trzęsło na tym cholernym mrozie. Palenie ogniska było kategorycznie zakazane, aby nie zdradzić naszych stanowisk.

Mając pewne doświadczenie ze swojej czteroletniej służby w ZWZ-AK i działań partyzanckich doradzałem chłopakom, jak się mogą lepiej ułożyć do snu, bo ze zmęczenia

i niewyspania walili się pod chojaki wprost na śnieg. Brak snu jest bardzo trudny do opanowania, zasnąć można wszędzie, nawet w marszu, więc i w śniegu, a to groziło zamarznięciu. Budziłem ich szarpając bez litości, a nawet kopiąc.

Nawiasem mówiąc przyznanie się do AK było nie do pomyślenia, żaden z moich kolegów z I batalionu 32 ppAK nie puścił w szkole pary z gęby na ten temat – byliśmy „zapłutymi karłami reakcji” i przy pierwszej okazji pojechalibyśmy do Kaługi albo i dalej jak wielu akowców, którzy dali się złapać.

Na trzeci dzień mieliśmy zupełnie dość sterczenia na mrozie, nic się nie dzieje, o nas chyba zapomnieli, nikt się nie zjawił na kontrole, nie ma gdzie się zagrzać i zjeść coś ciepłego. O parę kilometrów na łagodnym wzniesieniu majaczy wieś. Trzeba coś zrobić, mówię więc chłopaki: Patrzcie, koło wsi jest jakiś podejrzany ruch, trzeba sprawdzić, co się tam dzieje. No, w tyralierę i idziemy. Któryś się wyrwał „przecież nic nie widać”, ale inni huknęli na niego: „milcz, baranie jak nic nie widzisz, to siedź na dupie w tych krzakach”, ale nie został nikt i poszliśmy w kierunku wsi. We wsi są nasi z V Artdywizjonu. Melduję pierwszemu spotkanemu oficerowi nasze przybycie, nie ma sprawy, zostajemy we wsi, jest żarcie i ciepły kąt.

W następnym dniu przemaszerowaliśmy do Wejsławic, gdzie staliśmy na kwatrach, już w znośnych warunkach, dwa czy trzy dni. Nic się nie dzieje, nas podchorążych nie informują o wynikach obławy, wracamy do koszar w Chełmie.

W podchorążówce toczy się bardzo intensywne szkolenie teoretyczne i praktyczne na czołgowisku od wczesnego ranka do późnego wieczoru oraz normalna służba garnizonowa. O zbiegłej kompanii w dalszym ciągu nic nie wiemy i nic się nam na ten temat nie mówi. Dopiero gdzieś po trzech tygodniach następuje dalszy, już dramatyczny, ciąg tej sprawy, będący dla nas zupełnie tragicznym zaskoczeniem.

Byliśmy od rana na zajęciach topograficznych w terenie, niezbyt daleko od Chełma i szkoły. Gdzieś około godziny 10 zauważyliśmy, iż polną drogą od strony naszych koszar maszeruje w szyku zwartym duża kolumna wojska. Szła w kierunku pobliskich zagajników i lasu. Nasz wykładowca, gdy to zobaczył, zrobił zbiórkę plutonu i poprowadził nas też w kierunku lasu. Zupełnie nie wiedzieliśmy, o co chodzi, i co nas czeka, wykładowca nic nam nie powiedział na ten temat.

Zbliżamy się do maszerującej kolumny, poznajemy, że idzie kilka oddziałów podchorążych ubranych w płaszcze i bez broni, tak jak i my. Dołączamy do końca kolumny i razem wchodzimy do lasu. Po chwili jesteśmy na piaszczystej, sporej polanie, położonej niedaleko od skraj lasu.

Całe wojsko zostało ustawione półkolem pod ścianą lasu. Przed nami, w środku półkola, stało wkopane w ziemię pięć niezbyt wysokich, dość grubych słupów. Do każdego z nich był przywiązany, za ręce założone do tyłu, żołnierz w polskim mundurze bez dysfunkcji. To nasi koledzy ze zbiegłej kompanii. Rozumiemy sprawę, panuje głucha, śmiertelna cisza. Ja żadnego ze skazańców nie poznaję, w szkole było ponad tysiąc podchorążych.

Wchodzi niewielka grupa egzekucyjna, uzbrojona w pepesze, dowodzi oficer w polskim mundurze, żołnierze są w zielonych waciakach i czapkach uszankach. Ustawiają się w jednym szeregu przed skazanymi. Odbywa się krótka ceremonia czytania wyroków. Jeden zostaje ułaskawiony, odwiązują go od słupka i pod konwojem odprowadzają. Pozostałych czeka kara śmierci przez rozstrzelanie. O sędzie, który wydał taki wyrok, nic nie wiemy. Skazani zachowują się bardzo spokojnie, godnie, po żołniersku odważnie znosząc swój los.

Komenderujący oficer podnosi rękę, od słupków padają okrzyki „Niech żyje Polska” i wtedy pada komenda „po izmienikach rodiny agoń”. Rozlegają się krótkie serie pe-pesz, skazańcy obwiesili na sznurach wiążących ich do słupów, jednak wśród przejmującej ciszy słychać wyraźnie „dobijcie, dobijcie – niech żyj...” oficer z pistoletu dostrzeliwuje żyjących.

KONIEC – stoimy zaciskając zęby i tylko ta komenda „po zdrajcach ojczyzny – ognia”, wydana w rosyjskim języku.

Trzeba umieć umierać pięknie

Patrzac w lufy wzniesione – śmiało”

napisał kiedyś Władysław Broniewski

Tak właśnie umierali – i jeśli kogoś zdradzili to na pewno nie Polskę.

Zbigniew Dobrowolski

ps. „Andrzej”

## 2.7. Organizacja oddziałów bojowych podległych Komendzie Samodzielnego Okręgu Wileńskiego AK w operacji „Ostra Brama”

Lp.	Nazwa Brygady i przynależność	Stan osobowy	Dowódca Imię i Nazwisko Pseudonim	Uwagi
1	2	3	4	5
1.	1. Brygada Wileńska „Juranda” II Zgrupowanie	580	Por. Czesław Gombczewski ps. „Jurand”	Po śmierci „Juranda” R. Żebryk „Korab”
2.	2. Wileńska Brygada „Kaziuka” I Zgrupowanie	400	Por. Wiktor Korycki ps. „Kaziuk”	Od 7 – 12. VII. 44 r. I Zgrupowanie Węgielnego
3.	3. Wileńska Brygada „Szczerbca” I Zgrupowanie	800	Por. Gracjan Fróg ps. „Szczerbiec”	
4.	4. Brygada Wileńska „Narocz” „Ronina” II Zgrupowanie	620	Ppor. Longin Wojciechowski ps. „Ronin”	
5.	5. Brygada Śmierci „Łupaszki” I Zgrupowanie	550	Por. Zygmunt Szendzielarz ps. „Łupaszka”	Nie brała udziału w walkach o Wilno
6.	6. Samodzielną Brygadą Dyspozycyjną W dyspozycji Komendy Okręgu	800	Mjr Franciszek Koprowski ps. „Konar”	
7.	7. Brygada Wileńska „Wilhelma” Podinspektorat Puszcza Rudnicka	400	Por. Wilhelm Tupikowski ps. „Wilhelm”	
8.	8. Brygada Oszmiańska „Tura” III Zgrupowanie	500	Por. Witold Turonek ps. „Tur”	
9.	9. Brygada „Małego” III Zgrupowanie	270	Chor. Jan Szuszkiewicz ps. „Mały”	
10.	10. Brygada „Gustawa” III Zgrupowanie	400	Por. Czesław Bukowski „Gustaw”	Powstała po zakończeniu II operacji
11.	12. Brygada „Cerbera” III Zgrupowanie	400	Por. Hieronim Romaszewski ps. „Cerber”	

1	2	3	4	5
12.	13. Brygada Mołodeczańska „Nietoperza” III Zgrupowanie	450	Por. Adam Walczak ps. „Nietoperz”	
13.	23. Brygada Brasławska II Zgrupowanie	410	Por. Witold Kisiel ps. „Światłodycz”	
14.	Brygada Dryświaty (później 24) II Zgrupowanie	320	Por. Kazimierz Krauze ps. „Wawrzecki”	
15.	36. Brygada „Żejmiana” II Zgrupowanie	360	Por. Witold Kielewicz ps. „Wujek”	
16.	Brygada „Gozdawy” Podinspektorat Puszczy Rudnickiej	300	Por. Jerzy Różański ps. „Gozdawa”	
17.	II Batalion 85 pp Batalion A Powstaniowy Dz. Kalwaryjska Garnizon m. Wilna	500	Kpt. Bolesław Zagórny ps. „Jan”	
18.	Kompania Marszowa Dzielnicy „D” i Szare Szeregi Garnizon m. Wilna	180	Kpt. Józef Grzesiak Czarny ps. „Kmita”	
19.	Kompania Kedywu II Zgrupowanie	80	Ppor. Andrzej Świącicki ps. „Frycz”	
20.	Oddział Dyspozycyjny Kedywu III Zgrupowanie	60	Ppor. Stanisław Eugene Chyliński ps. „Froz”	
21.	Oddział Osłonowy Komendy Okręgu W dyspozycji Komendy Okręgu	120	Por. Władysław Kitowski ps. „Grom”	
22.	Kompania Osłonowa Sztabu Okręgu	100	Por. „Wiesław”	
23.	Oddział Osłonowy d-cy Zgrupowania wydzielony z 1 Brygady I Zgrupowanie	180	Por. Wilhelm Dietmayer ps. „Wilczur”	
24.	OR 1 .Oddział rozpoznawczy I Zgrupowanie	100	Rtm. Zygmunt Gebert- Błazejewski ps. „Grom”	
25.	OR 2. Oddział Rozpoznawczy wydzielony 1. Brygada II Zgrupowanie	150	Por. Borys Sztark ps. „Ptasznik”	
26.	Pluton artylerii (haubic) II Zgrupowanie	30	Ppor. Urbanowicz ps. „Czarny”	
27.	Oddział Osłonowy Dowództwa Zgrupowania III Zgrupowanie	60	Por. Jan Dubicki ps. „Gracz”	

Łączna liczba żołnierzy uczestniczących w akcjach bojowych w początkach lipca 1944 roku wyżej wymienionych brygad i oddziałów Okręgu Wileńskiego wyniosła 9.100 osób, w jednostkach pierwszej linii, bez sztabów, zaplecza logistycznego z sanitariatem i sieci łączności.

Opracował Roman „Korab” Żebryk

## 2.8. Rok 1920

W tym roku minęła 65. rocznica „Cudu nad Wisłą” czyli Bitwy Warszawskiej, zaliczanej do najważniejszych starć zbrojnych na naszym kontynencie, która zadecydowała w olbrzymim stopniu o losach Europy. Dlatego – zdaniem Redakcji – zasługuje ona w pełni na przypomnienie na łamach naszego Biuletynu.

## Pochód za Wisłę

Tak zabrzmiał rozkaz Trockiego dowódcy Armii Czerwonej osiemdziesiąt pięć lat temu. W tym samym czasie wojska polskie i petlurowskie walczyły w Kijowie o wolną Ukrainę. Z chwila, kiedy Józef Piłsudski przyjechał z Kijowa do Żytomierza, generał Haller szef sztabu wręczył mu świeżą depeszę, która mówi, że Sowietci północną stroną idą na Polskę.

Od tej chwili sytuacja diametralnie zaczyna się zmieniać. J.P. natychmiast depezuje do generała Szeptyckiego, który stoi z swoją armią na Wileńszczyźnie, aby objąć dowództwo nad 1 i 17 Armia oraz 4 Dywizją z Korestena i 15 z Chwastowa. Równocześnie wycofuje armię spod Kijowa drugą, trzecią i szóstą pod dowództwem generała Listowskiego, Rydza Śmigłego i Iwaszkiewicza. Sowietci nie uderzają w pustkę. Na Wileńszczyźnie stoi Armia Szeptyckiego, w Nowogrodzkim gen. Żeligowskiego, na Pole-siu gen. Sikorskiego, na Wołyniu i na Podolu wycofane armię spod Kijowa.

Drugiego sierpnia J.P. przyjeżdża do Warszawy. Oslania Warszawę 18 Dywizją z 6 Armii, natomiast 5 Dywizję odsyła na Lwów, która składa się w większości z lwowiaków. Na Lwów kroczy Stalin z swoją armią, której jest komisarzem ludowym. Uderza też jazda Budionnego. W Warszawie w sztabie J.P. spotyka się ze swoimi współpracownikami, gen. Rozwadowskim, którego mianował na szefa sztabu, z gen. Sosnkowskim ministrem wojny i świeżo przybyłym gen. Weygandem jako doradcą technicznym misji francusko-angielskiej i innymi. Atmosfera w sztabie była niezbyt przyjazna. Opinie tych panów w sytuacji były bardzo rozbieżne oraz nękała ich trwoga i niepewność.

4 sierpnia zgodnie z rozkazem Trockiego Armia Sowiecka rozpoczyna ofensywę. Przekraczają Niemen gen. Tuchaczewski z 16 Armia, gen. Sergiejew z 4 Armia i Grupa Mozyrska z 15 i 3 Armia w sumie 60 tysięcy żołnierzy. Po stronie Polskiej stoją Dywizje piechoty 5, 8 i 10 oraz zebrane Dywizje z Białegostoku 9 i 17 w sumie 30 tysięcy żołnierzy. Polacy pod przewagą wroga cofają się, mimo to wrogowi zadają ciężkie straty.

Tuchaczewski głosi: Na zachodzie rozstrzygają się losy powszechnej rewolucji, po trupie Polski wiedzie droga do Światowego pożaru. W tej sytuacji J.P. w obliczu zagrożenia, 6 sierpnia przyjeżdża z frontu do Warszawy i zostaje jak pisze na Placu Saskim zmorem mędrkowania bezsilności i rozumowania tchórzów. Jaskrawym tego powodem było wysłanie delegacji do Tuchaczewskiego z błaganiami o pokój. Jedynie gen. Sosnkowski zachował zimną krew. Obstawił Warszawę artylerią dotąd niespotykaną.

Józef Piłsudski z gen. Rozwadowskim i Sosnkowskim przystępują do opracowania planu obrony Warszawy. Jak pisze J.P. po krótkiej pracy i dyskusji wybraliśmy jako miejsce koncentracji okolice przykryte względnie szeroką rzeką Wieprz z oparciem lewego skrzydła o Dęblin i przykryciem w ten sposób mostów zarówno przez Wisłę jak i przez Wieprz. Na tej podstawie wypracowany został rozkaz 6 sierpnia regulujący rozkład strategiczny dla wojsk do bitwy pod Warszawą.

12 sierpnia J. P. wyjechał z Warszawy do Puław do swej polowej kwatery. Na miejscu stwierdził, że stan moralny wojsk nie jest tak zły w 21 Armii jak mógłby się tego spodziewać. Na rozkaz Trockiego gen. Tuchaczewski koncentruje swoje siły na Warszawę. Kieruje 16 Armia na odcinek Radzymin – Garwolin, na północ 3 i 15 Armia Radzymin – Mława. Depeszuje też do Lenina z prośbą, aby skierował Armia Stalina spod Lwowa do Warszawy, ponieważ sytuacja jest poważna. Jak później pisze, Stalin taki rozkaz otrzymał, ale nie wykonał, za co otrzymał nagane, został zdjęty z komisarza, ale nie zdjęto go z członka biura politycznego.



Józef Piłsudski spodziewając się generalnego uderzenia na Warszawę obstawia:

1 Armią Radzymin – Korczew, 2 Armią Korczew – Dęblin, 5 Armią Radzymin – Modlin. 16 Sierpnia o świcie rozpoczyna zgodnie z planem kontrofensywę. Powiadamia o tym Warszawę. W rozkazie nakazuje uderzyć szybko, zdecydowanie i skutecznie. Uderzenie było tak silne i szybkie, że linia frontu załamała się. Nieprzyjaciel zaczął się cofać w nieładzie i panice. Generał Stanisław Haller w walce tej wykorzystuje lukę powstałą między frontem północnym a południowym, uderza z nad Wieprza na tyły Armii Tuchaczewskiego, grożąc okrążeniem. Pod Komarowem rozbija Armię Budionnego.

Na wszystkich frontach nieprzyjaciel ponosi wielkie straty, świadczą o tym słowa J. P.: „gdy 18 sierpnia przyjechałem pod Mińsk zostałem porzucone armaty, konie i cały sprzęt wojenny oraz liczne trupy. Natomiast pod naporem Armii Józefa Hallera spod Lwowa wycofują się Sowieci.

Warszawa i nie tylko, ale i Europa została uwolniona. Członkowie sztabu w Warszawie do J. P. mieli częste uwagi, którymi on się nie przejmował gdyż nie bardzo się orientowali o ogólnej sytuacji frontowej, poza tym byli zmęczeni ciągłym lękiem i trwogą. W czasie walk J. P. zaproponował gen. Weygandowi współudział w dowodzeniu, ale ten odmówił, co J. P. uznał za rozsądne, dlatego że dowodzenie „wojskiem tak szybko sformułowanym jak nasze i tak mu nie znanym co do wartości, ani co do dowódców, ani położenia nieprzyjaciela było za trudne i niemożliwe”. Natomiast na J. P. ciążyła wielka odpowiedzialność, ponieważ nie tylko był Naczelnym Wodzem, ale też Naczelnikiem Państwa i stąd wziął całkowitą odpowiedzialność na siebie.

Tuchaczewski usprawiedliwia swą klęskę przed swoim dowództwem tym, że stracił dużo sił w bagnach poleskich, że nie pomógł mu Budionny i Stalin, nie otrzymał pontonów do przeprawy Wisły i stracił wiele żołnierzy w starciach z nieprzyjacielem. Kończąc swój wywód stwierdził, tak: „oddziały Armii 15 i 3 wyęły wszystkie swoje siły, aby zatrzymać natarcia wroga i pozwolić 4 Armii przejść wąskim korytarzem między Narwią a granicą wschodniopruską, ale zadanie to było niewykonalne.

Armie 3 i 15 w nierównych walkach straciły znaczną część sił i 4 Armii uratować się już nie dało. Większą jej część przeciwnik przycisnął do granicy Prus Wschodnich i zmusił do przejścia na terytorium Niemiec”. I dodaje: Tak kończy się nasza świetna operacja, wobec, której drzeć musiał cały kapitał europejski, który odetchnął swobodnie dopiero po jej ukończeniu.

Materiały te czerpałem ze wspomnień Józefa Piłsudskiego i M. Tuchaczewskiego oraz z Encyklopedii Powszechnej, które ze sobą się pokrywają.

Seweryn Herman

## 2.9. Bój o Lwów, a „cud nad Wisłą”

*Prawnukom – dla pamięci o pradziadku*

Był rok 1920. Młoda armia polska ruszyła na wschód. Polska po wieloletniej niewoli, ciemiężona przez trzech zaborców i wykreślona jako państwo z mapy Europy, została w 1918 roku odrodzona. Młode państwo sięgało po dawne ziemie Rzeczypospolitej dwojga narodów. Śnił się sen o państwie w granicach przedrozbiorowych, a dzięki pomocy w wyzwoleniu narodów południowo-ruskich lub inaczej ukraińskich z niewoli rosyjskiej, o stworzeniu państwa trzech narodów. Stąd pomoc dla uwalniającej się samorządnie Ukrainy i marsz południowej flanki wojsk polskich pod wodzą Rydza Śmigłego na Kijów.

Niestety w Rosji, po zwycięstwie komunizmu, rosące w siłę władze bolszewickie zaczęły myśleć nie tylko o ponownym zagarnięciu terenów całej carskiej Rosji, w tym także „Kraju Nadwiślańskiego”, a więc rdzennego obszaru odrodzonej Polski, ale również o zdobyciu Europy, a następnie świata. Ruszyła więc nawała bolszewicka na zachód: na północ od Polesia – armie Tuchaczewskiego – wprost na Warszawę oraz na południu armie Jegorowa z armią konną Budionnego, której komisarzem był Stalin, na Ukrainę i Małopolskę Wschodnią ze Lwowem. Armie Polskie musiały się cofać, na północ od łuku Wisły na południe od Prus Wschodnich 5 armia gen. Sikorskiego ochraniająca m.in. przeprawy przez Wisłę, zaś główne siły polskie pod wodzą marsz. Piłsudskiego i generała Rozwadowskiego na Warszawę. W tym też kierunku, na Lublin i środkową Wisłę cofały się oddziały Rydza Śmigłego spod Kijowa.

W tej sytuacji południowa flanką, dawny zabór austriacki, Małopolska Wschodnia ze Lwowem, pozostawały bez obrony. Były to ziemie bogate i stanowiły na tyle łakomy kąsek, że skierowały się na nie oddziały dowodzone przez Jegorowa, a w szczególności armia konna Budionnego, który zapragnął najpierw zdobyć Lwów, a dopiero potem ruszyć na zachód i po sforsowaniu Sanu i Wisły, uderzyć od południa na Warszawę. Gdyby się to udało, Budionny osiągnąłby dwa cele: zdobyłby i obrabował Lwów, a następnie otoczył Warszawę od południa, co doprowadziłoby do okrążenia wojsk polskich, upadku młodej Polski, wejścia bolszewików do ogarniętych rewolucją Niemiec, uderzenia na osłabioną I wojną światową Francję i dojścia do Atlantyku. Europa byłaby bolszewicka. Droga do podboju świata stałaby otwarta!

Położenie Polski było prawie beznadziejne. Atak bolszewików przez idącą przez Lublin na Warszawę armię Jegorowa wykluczał wszelkie akcje zaczepne na przedpolu Warszawy, której upadek byłby tylko kwestią czasu, bo na akcji zaczepnej, planowanej przez gen. Rozwadowskiego, Piłsudskiego i francuskiego generała Weyganda potrzebne były uwolnione od nacisku bolszewickiego oddziały Rydza Śmigłego, które w części były ponadto potrzebne do szachowania stojących na południowej flance bolszewików oddziałów co prawda słabej, ale jednak groźnej 12 armii bolszewickiej.

A czas naglił.

W tej sytuacji, przebywający w Małopolsce Wschodniej wojskowi wyższego szczebla w tym bohater pierwszej obrony Lwowa w roku 1918 brygadier Czesław Mączyński i generał – por. Robert Lamezan-Salins podjęli decyzję o zorganizowaniu M.O.A.O., czyli Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej.

Były różne koncepcje jak zagospodarować te oddziały, które składały się z ochotników pochodzących głównie z tego obszaru powstającej Rzeczypospolitej. Jedna – żeby ochotników od razu rozdzielać między odpowiednie oddziały wydzielone armii stałej; druga – by je bardziej związać z obroną samego Lwowa i by w związku z tym tworzyły one oddziały powiązane ze sobą w postaci jednej Małopolskiej Armii Ochotniczej, nazywane wówczas Małopolskimi Oddziałami Armii Ochotniczej.

Wygrała koncepcja druga. Zaczęto tworzyć samodzielną Armię. W skład jej od początku wchodziły oddziały główne (lub bojowe), pomocnicze (tyłowe), wartownicze i policyjne. Ostatecznie powstał Lwowski Okręgowy Inspektorat, który rozpoczął swoje prace w dniu 10 lipca 1920 r. w koszarach Zamarstynowskich i w szkole im. Sobieskiego. Zaczęła się lawina darów w pieniądzu i w naturaliach. Zaczęto organizowanie zaplecza armii między innymi szpitali. Jako linię obrony przewidywano rzekę Bug z daleko wysuniętymi przyczółkami. We Lwowie i okolicznych miastach powstawały agentury Inspektoratu, a następnie miejsca postoju terenowych jednostek. A było ich

sporo, bo to miała być armia, która miała zatrzymać olbrzymią nawałę bolszewicką, przewidywano zaś, że pierwsze starcia będą już w drugiej połowie lata.

Należy wspomnieć kim byli żołnierze tej armii. Oficerowie, to żołnierze formacji tyłowych armii stałej, oficerowie funkcyjni zaplecza, rekonwalescenci zwolnieni z wojska ze względu na wiek itp. Żołnierze to ludzie starsi lub młodzież, to także zaplecze oddziałów frontowych. Wielu z nigdy nie było w boju, ale były też stare wygi o wielkim doświadczeniu żołnierskim.

W krótkim czasie, w którym wielką rolę miało zrozumienie sytuacji i konieczności bardzo szybkiego działania, powstała armia. Jej oddziały bojowe tworzyły:

- 240 pułk piechoty,
- 238 pułk piechoty,  
(każdy złożony z trzech batalionów, z których każdy miał po 4 kompanie piechoty i jedną karabinów maszynowych),
- dwa pułki jazdy, 214 i 209;  
Pierwszy z nich, którym dowodził płk Żółkiewski, brał później udział w zajęciu Wilna przez gen. Żeligowskiego.  
Oba pułki jazdy brały udział w walkach na południowych rubieżach obrony Warszawy;
- jeden pułk artylerii (pułk 205), składający się z trzech dywizjonów, a każdy dywizjon z trzech baterii czterodziałowych (austriackich 8 cm lub rosyjskich 3-calowych), w każdej baterii pluton ochronny pieszy z dwoma karabinami maszynowymi, ponadto jedna bateria ciężka z działami francuskimi;
- jeden oddział pościgowy pod francuską nazwą „detachment”, składający się z piechoty na wozach (półtora i pół batalionu karabinów maszynowych), pułku jazdy lwowskiej (5 szwadronów i 2 szwadrony karabinów maszynowych), jednej baterii dział 3-calowych i auta pancernego.

Poszczególnymi formacjami piechoty dowodził między innymi ppłk Damasiewicz, kpt. Żółkiewski i rtm. Augustynowicz, a oddziałem konnym, przynależnym do „detachment”, rtm. Krynicki.

Oddział, nazwany 240 pułkiem ułanów pod wodzą płk. Żółkiewskiego odszedł do Mławy. Pułk artylerii nazwany 205 pułkiem artylerii polowej był pod dowództwem ppłk. Aleksandra Lewickiego, przy czym pierwszy dywizjon pod dowództwem mjr. Kwaka działał w większości w ramach „Detachment”, dywizjon II sformułowany w lipcu i sierpniu pod dowództwem mjr. dr. Jana Arnolda w drugiej połowie sierpnia potykał się z siłami bolszewickimi pod Kutkorzem i Krasnem, gdzie dowódca dywizjonu mjr. Arnold bezpośrednio dowodząc 5-tą baterią, spowolnił atak bolszewików i umożliwił piechocie planowany odwrót i zajęcie nowych pozycji obronnych, a tym samym odtworzenie frontu.

Wspomnianym wyżej „detachmentem” dowodził ówczesny rtm. Roman Abraham (późniejszy dowódca Wielkopolskiej Brygady Kawalerii), która to jednostka jako jedyna przedarła się znad Bzury w 1939 r. przez Kampinos do Warszawy.

„Detachment”, jako bardzo ruchliwa jednostka oddała wielkie usługi w działaniach M.O.A.O., parokrotnie powstrzymując oddziały Armii Konnej Budionnego. Znany jest też fragment obrony, gdy w pierwszej fazie pierwszego ataku bolszewików drogę czołowej dużej grupie konnicy, kilkanaście km przed Lwowem, zamknął oddział trzystu kilkunastu ochotników walczących do ostatniego naboju, a potem na białą broń. Zginęli wszyscy, ale i straty bolszewików były tak duże, że musieli wstrzymać natarcie, a w tym czasie uszczelniono obronę i przeprowadzono skuteczne przeciwnatarcie.

W tym krótkim artykule nie sposób oddać działania tych oddziałów wchodzących w skład M.O.A.O., armii, która w tej fazie wojny, w drugiej połowie lipca a następnie w sierpniu i wrześniu 1920 roku powstrzymała dwa ataki Armii Jęgorowa, a w tym armii konnej Budionnego i nie dopuściła do zajęcia Lwowa, ale również do przedarcia się bolszewików przez Bug, a następnie San i Wisłę i otoczenia Warszawy. Gdyby ten plan bolszewików się udał i obrona linii Wisła, Wieprz i dolny Bug się złamała, młoda odrodzona Polska przestałaby istnieć, w jej miejsce powstałaby może jakaś Polska Republika Rad w granicach tzw. Kongresówki, na co w Białymstoku czekali już Marchlewski, Konn i inni. Jedno jest więc prawie pewne: historia tej części świata byłaby inna.

Należy też wspomnieć, że obok czynnika, którym było powstanie bohaterskiej, około 12 000 Małopolskiej Armii Ochotniczej był czynnik drugi, szczęśliwy dla Polski i Europy, a tym czynnikiem były sprzeczne z logiką i poczuciem obowiązku działania dowódców armii bolszewickiej: jej południowego skrzydła – Jęgorowa oraz dowódcy frontu środkowego, późniejszego marszałka Budionnego i politruka Józefa Stalina. Nie usłuchali oni rozkazów Tuchaczewskiego i Trockiego, którzy nakazywali im pozostawić w spokoju południową flankę frontu, w tym Lwów i uderzyć w kierunku północno-zachodnim między Bugiem i Wisłą, na Warszawę.

Może Budionny obawiał się, że gdy ruszy na Warszawę, to sformowane już oddziały M.O.A.O. zagrożą jego skrzydłom. Stąd też można uznać wpływ powstania M.O.A.O. na rozwój sytuacji wojskowej w bitwie o Polskę i Europę za udowodniony, bo bez tych wojsk i zaangażowania przez nie w walkę południowego skrzydła sił bolszewickich, zaistnienie sytuacji zwanej „cudem nad Wisłą” mogło być wątpliwe.

Trudno dziś jednoznacznie stwierdzić, co stałoby się z Europą. Czy wyczerpane i zmęczone wojną światową państwa zdołałyby odeprzeć nawałnicę ze wschodu? Czy narody, gojące wojenne rany, oparłyby się propagandzie bolszewickiej, głoszącej że siły rewolucji niosą pokój i wolność. Czy w efekcie europejscy patrioci – najlepsi synowie swych narodów – nie znaleźliby się w kolejnych republikach radzieckich, albo wręcz trafiliby jako zniewolona siła robocza do syberyjskich łagrów? Czy mogłaby ostać się kultura europejska ...?

Z. Arnold

Opracowano w oparciu o:

1. Dane o historii tego okresu Polski w wojnie 1920 r.
2. Materiały zawarte w książce (reprint z roku 1921): dr Jerzy Pogonowski, *Bój o Lwów*, Warszawska Oficyna Wydawnicza. Gryf, 1992.
3. Dane z zapisków i przekazów rodzinnych.

### III. INFORMACJE I KOMUNIKATY

#### 3.1. Informacja o zasadach udzielania indywidualnej pomocy finansowej z Państwowego Funduszu Kombatantów

Na podstawie art. 19 ust. 6 ustawy z dnia 24 stycznia 1991 roku *o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego* (Dz.U. z 2002 r. Nr 42, poz. 371, z późniejszymi zmianami) kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych może, w szczególnie uzasadnionych przypadkach, udzielić pomocy kombatantom i innym osobom uprawnionym, a także wdowom i wdowcom pozostałym po tych osobach, na zasadach innych niż określone w Rozporzą-

dzeniu Ministra Pracy i Polityki Socjalnej z dnia 17 kwietnia 1988 roku w sprawie kryteriów, form i trybu przyznania i udzielania pomocy pieniężnej z Państwowego Funduszu Kombatantów (Dz.U. z 1998 r. Nr 53, poz. 334). Kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych jako zwierzchnik centralnego organu administracji państwowej, podejmując decyzję o udzieleniu pomocy finansowej, każdą sprawę traktuje indywidualnie.

Każdy wniosek o pomoc finansową skierowany do kierownika Urzędu powinien zawierać:

- własnoręcznie podpisaną prośbę kombatanta lub innej osoby uprawnionej o udzieleni pomocy (na s. 46 załączamy przykładowy wzór wniosku). W przypadku zwracania się o tę pomoc za pośrednictwem stowarzyszenia niezbędna jest pisemna zgoda kombatanta na występowanie stowarzyszenia w jego imieniu;
- kserokopię zaświadczenia o uprawnieniach kombatanckich lub o uprawnieniach wdowy lub wdowca po kombatancie;
- obligatoryjne dokumenty dające podstawę do ustalenia stanu zdrowia oraz sytuacji rodzinnej i materialnej osoby zwracającej się o pomoc:
  - odcinek renty lub emerytury wnioskodawcy i współmałżonka,
  - zaświadczenie o stanie zdrowia od lekarza,
  - ewentualnie zaświadczenie o posiadany inwalidztwie, faktury pro forma za zakupiony sprzęt rehabilitacyjny, rachunki za lekarstwa i inne wydatki poniesione na poratowanie zdrowia.

W przypadku nadesłania przez wnioskodawcę niekompletnego wniosku Urząd zwraca się pisemnie o uzupełnienie dokumentów. Nienadesłanie ich przez kombatanta traktowane jest jako rezygnacja z pomocy.

Przy rozpatrywaniu wniosku o udzielenie indywidualnej pomocy finansowej pomocne będą informacje dotyczące:

- dochodów osoby uprawnionej i współmałżonka;
- sytuacji zdrowotnej wnioskodawcy (ciężka choroba wymagająca stałego przyjmowania leków, świadczenia usług opiekuńczych);
- sytuacji rodzinnej wnioskodawcy (zamieszkuje samotnie czy z rodziną);
- stopnia inwalidztwa i niepełnosprawności (konieczność pomocy ze strony innych osób);
- wieku wnioskodawcy;

oraz

- opinia związku lub stowarzyszenia potwierdzająca sytuację przedstawioną przez wnioskodawcę.

Pomoc udzielana przez kierownika Urzędu może dotyczyć dofinansowywania kosztów leczenia, w tym również leczenia sanatoryjnego, opieki, zakupu sprzętu rehabilitacyjnego lub ortopedycznego oraz wsparcia w przypadku trudnych warunków życiowych spowodowanych różnymi zdarzeniami losowymi, np. kradzieżami, klęskami żywiołowymi.

Podstawą do określenia wysokości proponowanej pomocy finansowej jest wysokość dochodów w rodzinie wnioskodawcy, wiek, rodzaj schorzeń oraz cel, na jaki zostanie przeznaczona.

Indywidualna decyzja o przyznaniu pomocy jest przesyłana do wnioskodawcy listownie. W ślad za decyzją następuje jej realizacja – przyznawana kwota zostaje przekazana za pośrednictwem poczty, przelewem lub wypłacona wnioskodawcy (ew. osobie upoważnionej) bezpośrednio z kasy Urzędu.

Maria CIEŚLA

Główny specjalista w Departamencie Stowarzyszeń  
i Spraw Socjalnych

1. Nazwisko i imię .....
2. Nr i seria dowodu osobistego .....
3. Adres zamieszkania
- miejscowość ..... ulica
- nr domu ..... nr mieszkania .....

**Szanowny Pan  
Jan TURSKI  
Kierownik Urzędu  
do Spraw Kombatantów  
i Osób Represjonowanych  
00-926 WARSZAWA  
ul. Wspólna 2/4**

## PODANIE

W związku z trudną sytuacją zdrowotną i losową oraz materialną, w której się obecnie znajduję, proszę o udzielenie jednorazowej pomocy finansowej z Państwowego Funduszu Komбатantów.

Prośbę swoją motywuję następującymi faktami:

/ Wypełnia kombatant lub inna osoba uprawniona/

This image shows a single sheet of white paper with horizontal ruling lines. The lines are evenly spaced and run across the width of the page. There are no margins, text, or other markings on the paper.

.....  
**miejsowość i data**

.....  
własnoręczny podpis wnioskodawcy

**Załączniki do wniosku**

1. Kserokopia zaświadczenia o przyznaniu uprawnień kombatantha lub wdowy po kombatanacie
2. Aktualna kopia odcinka renty/emerytury własnej i małżonka
3. Dokumenty stanowiące podstawę ustalenia stanu zdrowia, świadectwo lekarskie, ewentualnie orzeczenie o niepełnosprawności
4. Koszty zakupionych leków, faktury pro forma, itp.
4. Inne dokumenty poświadczające wypadki losowe, np. pożar, kradzież, wypadek itp.

### 3.2. Pamiętajmy o nich

Trzej bracia Lutostańscy z Nieborzyna
--

W piękny słoneczny dzień – 21 czerwca 2005 r. na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie odbył się pogrzeb **Jana Lutostańskiego**. Pochodził z ziemiańskiej rodziny osiadłej na Ziemi Słupskiej. Był człowiekiem nad wyraz prawym i szlachetnym, skromnym i uczynnym, gorącym polskim patriotą.

Był absolwentem Gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu oraz Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu, którą ukończył w 1938 roku. Studia na SGGW w Warszawie przerwała wojna 1939 roku.

Wachm. podchor. Jan Lutostański walczył w barwach 7 psk, który wchodził w skład Wielkopolskiej Brygady Kawalerii, dowodzonej brawurowo i skutecznie przez gen. Romana Abrahama. W krwawych walkach jakie 7 psk toczył w rejonie Psary – Polesie – Zbrożkowa Wola, Jan Lutostański został ciężko ranny.

Zbroczonego krwią wywłókł z pola bitwy brat bliźniak – ppor. Jerzy Lutostański, również absolwent SPRKaw. (XII promocja). Ukończył szkołę jako prymus z pierwszą lokatą. Był oficerem 7 psk. Poległ 19 września w bitwie pod Laskami Warszawskimi. Odznaczony został pośmiertnie Krzyżem Walecznych i Orderem Krzyża Virtuti Militari.

Tymczasem Jan Lutostański przez wiele miesięcy leczył swe rany w szpitalu w Kutnie. Wiosną 1940 roku osiadł w Warszawie i włączył się w pracę konspiracyjną w Zgrupowaniu Kawalerii Obszaru Zachód ZWZ, potem AK. Mimo ran z 1939 r., Jan Lutostański wziął czynny udział w Powstaniu Warszawskim. Walczył w Zgrupowaniu „Gustaw – Harnaś”. 18 września został znowu bardzo ciężko ranny w płuca, ręce i nogi. Swe inwalidztwo znosił do końca życia z podziwu godną pogodą ducha. Jan Lutostański był kawalerem Orderu Krzyża Virtuti Militari. Awansowany do stopnia podporucznika rez. Kawalerii w 1942 r.

Wspomniani w niniejszej nocie bliźniacy Jan i Jerzy Lutostańscy mieli starszego brata Władysława, również absolwenta SPRKaw., studenta prawa, żołnierza Września 1939 r. i Powstania Warszawskiego 1944 r., w którym w Zgrupowaniu „Róg” (?) walczył na Woli i Starym Mieście. Przeszedł kanałami do Śródmieścia. Ciężko ranny, zmarł 2 października 1944 r. z upływu krwi w szpitalu powstańczym przy ul. Marszałkowskiej 81.

Niniejszą notę wspomnieniową przekazuję nielicznym żyjącym kombatantom z 7 psk i również powstańcom warszawskim, którzy pamiętają jeszcze tych bohater-skich braci: Jana, Jerzego i Władysława Lutostańskich.

Maciej Rembowski  
por. 15 p. ul. i p. AK „Baszta”

### 3.3. Kronika żałobna

W ostatnim czasie odeszli na wieczną wartę następujący członkowie Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Okręgu Poznań:

1. ppor. Waldemar Sakowicz ps. „Tyber”, zmarł 26.03.2005 r. – żył 80 lat. Żołnierz AK Okręgu Wileńskiego, kryptonim „Wiano”, Grupa Wilno-Śródmieście – 1 Batalion d-ca drużyny w Kompanii „Witolda”. Był członkiem ŚZZAK, Oddział w Pile.
2. por. Jan Kmiecik ps. „Mróz”, zmarł 20.04.2005 r. – żył 82 lata. Żołnierz AK Okręgu Radomsko-Kieleckiego, kryptonim „Jodła”, oddział „Wilka” – I pluton, III Kompania. Był członkiem ŚZZAK, Środowisko „Jodła” w Poznaniu.
3. ppor. Zofia Bała ps. „Rys”, zmarła w lutym 2005 r. – żyła 81 lat. Żołnierz AK Okręgu Lubelskiego, kryptonim „Rolnik”, Podobwód 26 – Rejon Ryki. Była członkiem ŚZZAK, Oddział w Lesznie.
4. Maria Kaczmarek, zmarła w grudniu 2004 r. – żyła 82 lata. Członek Nadzwyczajny ŚZZAK, Środowisko „Pałac” w Poznaniu.
5. por. Władysława Tojzowa ps. „Teresa”, zmarła 03.02.2005 r. – żyła 97 lat. Żołnierz AK, Okręg Pomorski, kryptonim „Pomnik”, łączniczka szefa sztabu Okręgu. Była członkiem ŚZZAK, Środowisko „Pałac” – „Pomnik” w Poznaniu.
6. por. Edmund Rosiński ps. „Ed”, zmarł 14.02.2005 r. – żył 74 lata. Żołnierz z Okręgu Pomorza, kryptonim „Pomnik”, Wydział V Sztabu – Obwód Gniezno. Był członkiem ŚZZAK, Środowisko „Pałac” - „Pomnik” w Poznaniu.
7. por. Tadeusz Pawlik, zmarł 18.04.2005 r. – żył 75 lat. Żołnierz z Okręgu Krakowskiego, kryptonim „Muzeum”, 16 pp AK zgrupowanie „Barbara” w Suchej Górze. Był członkiem ŚZZAK – Koło Środa Wielkopolska.
8. por. Czesław Studziński – ps. „Cyrkus”, zmarł 22.04.2005 r. – żył 85 lat. Żołnierz z Okręgu Wileńskiego, kryptonim „Wiano”, Inspektorat BC Komendy Wileńskiej AK, 23 Ośrodek Dep. Święciany, patrol nr 3 w Kajńszkich. Był członkiem ŚZZAK Oddział w Koninie.
9. por. Wiktor Jankowski, ps. „Sosna”, zmarł 20.05.2005 r. – żył 88 lat. Żołnierz z Okręgu Wileńskiego, kryptonim „Wiano”, 7 Wileńska Brygada AK „Wilhelma”. Był członkiem ŚZZAK Oddział Piła.
10. ppor. Maria Czerwiakowska, ps. „Irka”, zmarła 31.08.2004 r. – żyła 83 lata. Żołnierz z Okręgu Radomsko-Kieleckiego „Jodła”, Obwód Opatów, Placówka Iwaniska. Była członkiem ŚZZAK Środowisko „Jodła” w Poznaniu.

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

**Wydawca:** ŚWIATOWY ZWIĄZEK ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ – ZARZĄD  
OKRĘGU POZNAŃ

Al. Niepodległości 16 p. 10, 61-714 Poznań, tel. 854-19-18,  
Konto PKO I O Poznań nr 05 1020 4027 0000 1902 0300 2243  
Pomocy finansowej udziela wydawcy Urząd ds. Kombatantów

Spółeczny Komitet Redakcyjny:  
*Zofia Grodecka (red. hist.), Witold de Mezer (red. nacz.), Ludwik Misiek, Jerzy Żurkowski*

**ISSN 1425-2600**

Skład i przygotowanie do druku

